Cena 10 zł
(wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego).

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II — Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 29 września 1946 r. — Nr 33 (44)

Uniwersytet Śląski Biblioteka
02015

Stefan Sulima

Ziemia odnalezionych przeznaczeń

Było to pod Lublinem w pierwszych dniach września.

W przydrożnym rowie na skraju lasu ulokowało się przygodne towarzystwo, aby przeczekać popołudniowy nalot. W owe dni eskadry niemieckie chodziły z północy na południe i na odwrót regularnie jak według rozkładu jazdy. W oznaczonych terminach basowe dudnienie motorów napełniało powietrze, jadowicie grzechotały z góry karabiny maszynowe, a z dala nadlatywał podmuch eksplodujących bomb. W te godziny miewało się uczucie nieludzkiego gwałtu dokonywanego na naturze człowieka. Blade jesienne niebo zdawało się być szklannym kloszem, nałożonym na skazaną na męki ziemię, słońce zaś bezdusznym projektorem, oświetlającym miejsce potwornej operacji.

Leżeliśmy obok siebie. Przypadkowo zebrani ludzie z całej Polski kulili się do ziemi w poszukiwaniu osłony i ratunku. Panowało ciężkie, przygnębiające milczenie i tylko uparty warkot wborowywał się gwałtem pod czaszkę i tłoczył jeszcze niżej do ziemi.

— Chciałbym wiedzieć skąd te łotry latają? — wybuchnął nagle ktoś na wpół histerycznie.

— Z Prus Wschodnich do Słowacji i z powrotem — brzmiała nieoczekiwana odpowiedź, której udzielił półgębkiem niemłody już kapitan z zamyśloną miną.

Znowu zapanowało milczenie. Warkot przelewał się po nicbie w różnych stopniach nasilenia.

— Gdyby nie August Mocny i koronacja Fryderyka, nie lataliby nam teraz nad głowami — westchnął raczej do siebie kapitan, któremu widocznie dylematy przeszłości mąciły pokój ducha.

Apatyczny tęgi pan, leżący obok, ożywił się niespodziewanie na to oświadczenie, podniósł głowę z nad ziemi i założył protest:

— 0, proszę pana, wówczas była to już zwykła formalność. Od śmierci Sobieskiego było jasne, że Prusy są dla nas prędzej czy później stracone. Gdyby ktoś chciał zgłaszać pretensje do historii, trzeba by cofnąć się znacznie dalej w przeszłość.

Istotnie po pięciu minutach ożywionej dyskusji, do której przyłączali się coraz to nowi uczestnicy, roztrząsaliśmy sumienia Jagiełły i Witolda, a zanosiło się na dobre na nicowanie Piastów.

— Zgódźmy się w końcu na Konrada Mazowieckiego — zaproponował pojednawczo starszy pan, jak się okazało profesor gimnazjalny. Przytaknęliśmy zgodnie, bo zdawało nam się, że nareszcie doszliśmy do sedna sprawy.

Tymczasem za zakrętem zawarczał motocykl, idący na pełnym gazie. Przerwaliśmy dyskusję i z zaciekawieniem wypatrywaliśmy śmiałka, który w czasie nalotu odważa się robić ruch na szosie. Jakiś wojskowy wydobywał z motoru wszystkie siły, wzbijając przy tym potężne kłęby pyłu. Na nasz widok osadził maszynę na skraju lasu i zamachał ku nam rękami:

— Panowie! Gen. Bortnowski dziś rano przekroczył granicę wschodnio-pruską i wali na Królewiec!

Bez słowa wyjaśnienia pokręcił manetką od gazu. Motor ryknął przeciągle i ruszył na pełnych obrotach. Zostaliśmy osłupieni w tumanie kurzu, patrząc za oddalającym się zwiastunem dobrych wieści. A propos było zadziwiające.

— No, teraz nie ma się co już martwić — zakonkludował kapitan, otrząsnąwszy się z wrażenia. Za tydzień będzie po Prusach. Kawaleria sforsuje pograniczne przeszkody terenowe, coś na modłę Czarnieckiego — dodał tonem wyjaśnienia — a potem... W tym miejscu rozczapierzył palce i z przekonaniem zapewnił: zobaczycie panowie jakie rajdy gwiaździste rozpoczną się po całych Prusach.

Zafrasowanie opuściło całkowicie kapitana.

— Nie Niemcom wojować z nami na wschodzie. Tu my jesteśmy u siebie, za pan brat z naturą. Gdyby nie Konrad Mazowiecki nigdy...

W tym miejscu profesor wstrzymał dalsze wywody i wyraźnie dorwał się do głosu.

— Zostawmy Konrada w spokoju. Po wkroczeniu do Prus i wystąpieniu Francuzów (niewątpliwym po takim sukcesie), wojna nie potrwa długo. Na jesieni — wykonał gest pełen staroświeckiej galanterii — przypuszczam, że będę miał zaszczyt gościć panów u siebie w Królewcu. Moje nazwisko brzmi B....wicz, a szukać mnie proszę w polskim gimnazjum. Mój Boże, odkąd ja o tym marzyłem. Okazuje się, że czasem człowieka od spełnienia marzeń dzieli zwykły kawaleryjski rajd.

W chwili gdyśmy poniechali oskarżonego Konrada, wojska niemieckie połączyły się już w sercu polskiego Pomorza, idąc z zachodu i wschodu, a pancerne kolumny Guderiana, rozpuszczone z nad południowej granicy Prus siały panikę na drogach północnej Polski. Do Prus było wówczas dalej niż kiedykolwiek.

Po siedmiu latach, siedzą w pociągu, który mnie unosi na północ i z cierpkim sarkazmem myślę o początku mej pruskiej podróży. Zaczęła się ona nie kilkanaście godzin temu, ale w chwili gdy podniesiony na duchu naciągnąłem pod Lublinem plecak i ściskając prawicę kapitana i profesora ruszyłem przed siebie... na wschód. Na dawną ziemię Prusów niosła mnie gigantyczna wojna, napędzana wysiłkiem narodów całego świata, na którą my, Polacy, kapitulujemy rozsądnie najwyższą cenę ofiary. By stanąć tutaj, by tę ziemię móc nazwać swoją, mało było złudy brawurowego rajdu. Trzeba było wstrząśnięcia posadami całego świata i triumfu sprawiedliwości nad złem, którego częścią składową był t. zw. duch prusactwa.

Myśmy kapitanie i profesorze, byli kiedyś bardzo naiwni i krótkowzroczni. Sprowadzaliśmy wielkie rzeczy do akademickich uogólnień. Prusy były dla nas papierową, historyczną fikcją z dodatkiem jakichś geopolitycznch racji, niemczyzna symbolem chorobliwej zaborczości. Lubiła łamać ogólnie przyjęte konwenanse, ale z perspektywy ówczesnej niepodległości zdawała się nie mieć poza tym innych szczególniejszych cech. Szukaliśmy więc Konrada, niemal na modłę romantyków, gdy narastający od wieków żywioł przemocy i zniszczenia gniótł nas z okrutną bezwzględnością do ziemi i wierzyliśmy w jakieś magiczne hokus-pokus, które w końcu uzna słuszność naszych wygodnych spekulacji. Nawet nie wiedzieliśmy, że wybierając się do Królewca idziemy w przeciwną stronę, że wiele musi się zmienić w naszych poglądach, że muszą nam się otworzyć oczy na wiele, wiele życiowych spraw, przez to, że sądzone nam wówczas było patrzeć w obłędne ślepia niemieckiej bestii, na dnie których tliła niepohamowana żądza mordu.

Ziemia Prusów jako jedna z pierwszych padła ofiarą rafinowanego „Mordplanu". Karty historii kiedyś nieme, pełne obcych dla naszych pojęć napięć sadyzmu i bestialstwa, w upiornych światłach okupacyjnej nocy stały się wymowne przez analogię metod, jakich na nas samych użyto. Zanim bowiem sam stał się kamieniem węgielnym imperializmu niemieckiego, laboratorium gwałtu, seminarium nienawiści i okrucieństwa, probierzem siły podstępu i cynicznego oszustwa, legowiskiem obłąkanych ludobójczych idei, kraj ten doświadczył na sobie każdego szczegółu niszczycielskich, antyludzkich wynalazków niemieckich.

„Była w tym... ogólna dążność pochłonięcia, i w tej paszczy.... Prusak zwykle napotykał na zęby go miażdżące, lub ostre kły go tnące, ale czasem nastawał okres jakby delikatnego przeżuwania" — charakteryzuje najdawniejszą przeszłość historyczną Prus, znawca problemów bałtyckich z rzadką przed drugą wojną światową przenikliwością. (Sobieski. Walka o programy i metody rządzenia w Prusach Książęcych, Poznań 1932).

Kiedyś Prusy były daleką peryferią Europy, zamieszkałą przez plemiona pogańskich Bałtów, lud cywilizacyjnie zapóźniony i prymitywny, żyjący na słowiańskim podglebiu etnicznym. W czasach przedhistorycznych i aż do XIII wieku stanowiły Prusy dependencję kulturalną Pomorza i Mazowsza, a w mniejszym stopniu nawet dalekiej Wielkopolski. W świadectwie archeologicznych znalezisk ukazuje się nam silna zależność tego kraju od ziem rdzennie polskich, z których dobrodziejstwa kultury i cywilizacji płynęły doń szeroką strugą. Już wówczas był to kraj „skazany" na zależność od Polski, najprzypuszczalniej i na stopienie się z nią w całość polityczną.

Współżycie polsko-pruskie było, jak na owe czasy, zupełnie spokojne. Pewnie, że nieuniknione konflikty sąsiedzkie musiały się i tu zdarzać. Podobno św. Wojciech padł ofiarą rodowej zemsty, z ręki Prusaka, który mścił zabójstwo brata. Ale były to drobiazgi wobec rozległych pozytywnych stron tego stosunku. Do XIII w. Prusowie przyswajają sobie polskie określenia na przedmioty użytkowe, narzędzia, rośliny i urządzenia społeczne, które jako zdobycze cywilizacji przyjmują z Polski. Pogańska nacja okazuje się łatwa w pożyciu i podatna na powolny, systematyczny wpływ. Póki Polski Bolesławów, póty nie słyszymy o poważniejszych tarciach i nienawiści plemiennej, mimo zabójstwa św. Wojciecha, które Polska odczuła dotkliwie. Do końca XII w. — jak stwierdza Kętrzyński (Wojtkiewicz) „dowiadujemy się o jednej klęsce Polaków i kilku szczęśliwych wyprawach do Prus, które dla dziejów obu narodów ostatecznie były zupełnie bez znaczenia, nic jednak nie słyszymy o owych zaciętych walkach pogranicznych..." Same starcia zbrojne obciążają już konto zachłannych książąt dzielnicowych, którzy przecież potrafili zanarchizować stosunki własnego, niegdyś wysoko zorganizowanego kraju, cóż dopiero mówić o pogranicznych pruskich. Wbrew „pobożnym" pozorom nie chodzi w ich chadzkach o niesienie krzyża za pruską rubież. Cel ich sprowadza się do zagarnięcia łupu na poganach i wymuszenia haraczu. Co najwyżej myślą o rozszerzeniu podstawy dla wewnętrznych podbojów. Po haracz chadza Kędzierzawy, trybut nakłada sam Kazimierz Sprawiedliwy, pobiwszy Prusów i szczególnie dokuczliwych Jadźwingów (1191 — 1194) w czasie swych wypraw, stosunkowo najbardziej, krzyżowych. Im bardziej Polska się rozdrabnia, tym wyraźniej zaciera się ślad polskiej myśli cywilizacyjnej w Prusach. Okres wojen krzyżowych z atmosferą podniecenia nerwów i duchem awanturniczości, przy wzroście apetytów ze strony piastowskich książąt, musiał przynieść jej dalsze wypaczenie.

Perspektywa Odry

Wypowiedzi niemieckie na temat naszej granicy zachodniej są coraz częstsze i coraz bardziej wrogie. Schumachera czci się w Niemczech jako tego, który pierwszy odważył się poruszyć ten temat. Cień Schumachera padł również na niemiecką partię jedności w strefie okupacyjnej radzieckiej, partię jednoczącą jak wiadomo socjalistów i komunistów. Nie ma dziś po prostu zakątka Niemiec, gdzie by nie kwestionowało się naszej granicy na Odrze i Nysie. Ośmieleni mową Byrnes'a politycy niemieccy przemawiają na dziedzińcach fabrycznych, w stołówkach kopalnianych, na ulicach miast i na rynkach miasteczek.

O ile głośno i chętnie wypomina się nam ziemie, położone na wschód od Odry i Nysy, o tyle pogodzono się już prawie z utratą Prus Wschodnich. W angielskiej strefie okupacyjnej odezwało się ostatnio parę głosów w tej sprawie, ale wszystkie były zwrócone nie przeciwko nam, lecz przeciw Rosji Sowieckiej. Popularne w Berlinie Koło wysiedleńców Mazurów w związku z tym zostało ostatnio jakby zapomniane przez prasę i radio niemieckie.

Nasza reakcja na mowę Byrnes'a nie zawsze była godna postawy narodu politycznie dojrzałego i mądrego a w każdym razie źle świadczyła o naszych bezwzględnych prawach do ziem położonych na wschód od Odry i Nysy łużyckiej. Reagowaliśmy namiętnie, gwałtownie a przede wszystkim głośno, co w Anglii poczytane zostało jako chęć uchylenia się od przedstawienia merytorycznych prawd w związku z granicą na Odrze i Nysie. Ale to była ostatecznie reakcja bezpośrednia. Postawa wobec mowy Byrnes'a musi być jednak kontynuowana, stanowisko nasze ukazywane musi być odtąd stale, choć w innej bezwzględnie formie.

Odpowiemy zagranicznym Byrnes'om pracą, zagospodarowaniem Ziem Odzyskanych, przeszczepieniem na nie naszych wartości kulturalnych, zespoleniem wszystkich osiadłych i urodzonych tu grup ludnościowych. Prawa nasze do tych ziem udowodnione zostaną na dwóch płaszczyznach — na płaszczyźnie historycznej i na płaszczyźnie współczesnej tym ziemiom rzeczywistości. Przy tej drugiej okazji będziemy mieli okazję stwierdzić, raz jeszcze, że naród polski bez względu na dzielące go różnice polityczne jednoczy się w chwili obrony swych włości, tak bardzo uszczuplonych przez ostatnie wieki historii.

Polska kultura ludowa na Warmii. Chata warmijska z r. 1770 w Jankowie, pow. Olsztyn.

Dział 54 05

„Prusacy byli, czego im nawet nieprzyjaciele ich nie zaprzeczają, narodem charakteru łagodnego i wielce gościnnym". W razie wojny „ludność cała chowała się do lasów i bagien nieprzystępnych, unikając walki", a na skutek rozproszkowania etnicznego i braku jakichkolwiek urządzeń centralnych „nie była w stanie prowadzić wojny zaczepnej". Jeśli nawet przyjąć, że „wobec doznanej urazy nieznali przebaczenia, krew tylko krwią okupywać było można", nie był to poważny rywal, przeciwnie, słabość jego rokowała dość łatwe sukcesy ewentualnej agresji. Ich osławione „odwetowe" wyprawy do Polski „nie liczyły nigdy zbyt wielu uczestników, a śmieszną wcale nam się nie wydaje wiadomość Dusburga o splądrowaniu i spustoszeniu Polski przez 20 Prusaków" — powiada Kętrzyński.

Tak czy inaczej, może w nie najidealniejszy sposób, moment wyjścia Prus z mroków pierwotności i powiększenia przez nie grona cywilizowanych narodów był tylko kwestią czasu i zbliżał się nieodwołalnie. Pomyślną okoliczność stanowił przy tym fakt, że u progu XIII stulecia zwrócił na Prusy oczy czynnik, który miał moc hamować samowolę polskich książąt i wyraźnie akcentował konieczność ideowej czystości i bezinteresowności w stosunkach z poganami. Innocenty III, jeden z najwybitniejszych papieży, twórca królów, protektor słabych narodów wobec przemocy cesarstwa, przez całe życie poświęcał sprawie pruskiej niemałą uwagę i troskliwie przygotowywał grunt pod dzieło emancypacji tego dalekiego zakątka średniowiecznego świata. Póki jego życia, póty nadziei, że ludzkość, ta bez cudzysłowu, przygarnie do swego grona pruskich barbarzyńców. Nie miejsce tu analizować motywy działania papieża i stopień przekory wobec zakusów cesarstwa w tej części Europy, to trzeba jednak podnieść, że program papieski, głęboki w swym humanitaryźmie, ponad głowami książąt polskich, zbliżał się do pierwotnej polskiej idei pokojowego podboju Prus dla cywilizacji i chrześcijaństwa.

Oparł się Innocenty nie o niepewne w tego rodzaju planach rycerstwo i władze świeckie. Dzieło jego miały realizować doborowe kadry duchowieństwa, które znalazły grunt przygotowany przez działalność polskiego Kościoła. Po akcji klasztoru w Łeknie, misjach cystersów i kanoników regularnych, współdziałając z arcybiskupem gnieźnieńskim, pod jego bezpośrednim zwierzchnictwem, zainicjował Innocenty dzieło misyjne pierwszego biskupa Chrystiana i stworzył dla niego finansowe i organizacyjne podstawy.

Zarówno sukcesy terytorialne misji, jak przede wszystkim podróż dwu książąt pruskich Survabuna i Warpody do Rzymu, przyjęcie przez nich chrztu i zwierzchności papieskiej, ilustrują powodzenia misji pruskiej. Jeśli nic nie przeszkodzi Prusy, jak niegdyś Polska, pod protekcją św. Piotra unikną ingerencji drugiego uniwersalnego mocarza średniowiecza, cesarza, który nawraca mieczem. A w takim razie polityczne owoce tego sukcesu zbierze Polska.

Niestety na szlaku Prus do wolności piętrzą się przeszkody. Umiera Innocenty, a z nim mija świetność i bezkompromisowość misyjnego dzieła. Następca jego, Honoriusz, nie umie na żadnym polu utrzymać zdobyczy poprzednika. W krytycznym momencie, gdy u ujścia Dźwiny narasta niebezpieczeństwo niemieckiej ekspansji bałtyckiej, prosty tor przeznaczeń pruskich zaczynają wikłać konflikty i książęce ingerencje. Znów egzaltacja zmierzchającego okresu wojen krzyżowych i krótkowzroczny, doraźny interes podają sobie dłonie. W Prusach rośnie antagonizm między chrześcijanami a poganami, nie hamowany przez nikogo, owszem pożądany przez rozkołysane agitacją krzyżową, rycerstwo. Aby ratować dzieło Inoncentego Honoriusz ucieka się do środka, którego poprzednik jego tak się obawiał, do krucjat, których hasłem jest powściągnięcie rozzuchwalonych pogan. Szybko anarchizują się stosunki pograniczne, chadzki pruskie w pierwszym ćwierćwieczu XIII w., szczególnie pod jego koniec, powtarzają się coraz częściej. Konsoliduje się opór pruski wokół pogaństwa, rodzi się zaciekłość i żądza odwetu po obu stronach.

Jeszcze raz polska idea cywilizacyjna przemawia ustami Leszka Białego. Wezwany do krucjaty, a równocześnie odpowiadając na projekt blokady gospodarczej Prus, książę krakowski rozwija swe poglądy na misję w kraju pogan.

„Cały program kolonizacji miast rzucił Piast polski — powiada Sobieski. — Hasłem jego nie miecz krzyżowców, który umie ścinać, ale z żelaza sandomierskiego wykuć trzeba dla pracy kulturalnej pług, siekiery, młoty, obcęgi i piły i to im sprzedawać, a porzucą zacofane pogaństwo i przejdą do systemu rolniczego i chrześcijaństwa. Proponuje nie okrutną blokadę, ale właśnie łagodne zwabianie ich do kultury zachodniej przez te artykuły, których brak Prusakom, oddziaływać nie przez gwałt, ale przez miłość chrześcijańską, przez dobroć i ludzkość".

Jan Koprowski

Wieczny dom

Odszedł pradziad i dziadek,
pochylił się ku ziemi ojciec
wzrósł syn.
Wstrząsnęły światem barykady,
cierpki wojen przeszumiał dym.

A dom stoi —
dom się ostał —
wieczny niestarty ślad.
Z moim domem sprawa prosta:
mój dom wznoszą ściany lat.

Ten dom zamiast się starzeć
młodnieje —
prostuje się, wyrasta wzwyż.
Opiera się kołującym dziejom,
przechodzi cało wśród zgliszcz.

Naszym życiem kwitgie ten dom —
życiem dziada, pradziada, ojca.
Jego życie będzie dalej szło
życiem moim,
mojego chłopca.

Dzieci naszych dzieci porosną,
rozsypią się —
na południe, na północ.
A dom — wieczyste czółno —
będzie płynął rzeką lat
prosto.

Dom zostanie
zostanie na zawsze —
w ziemię wbity, w ziemię bez dna
żeby swymi oczami patrzeć
jak z ócz świata toczy się łza.

Cóż kiedy na realizację tego planu nie stać było papieża, a tym bardziej władców ówczesnej Polski. Najbliższy sąsiad pruski, Konrad, zachłannie zezuje jednocześnie na Prusy i Kraków, a reszta książąt z wyrachowania ciasnoty horyzontów również wyznaje perswazję miecza. Książęta polscy, sami amatorzy zwady, pracują nad wytworzeniem atmosfery prymitywnej niechęci wobec pogan, urabiając im opinię okrutnych i zamiłowanych w wojnie i rozboju. Nie przypuszczają nawet, że mają w tych praktykach doświadczeńszego i bardziej świadomego celu rywala, który po Słowianach połabskich i nadodrzańskich od dawna zwrócił uwagę na Prusy.

W relacji Ibrahima ibn Jakuba z podróży do krajów słowiańskich znajdujemy passus o bitności ludu Burus (Prusowie) i o fantastycznym ich sąsiedztwie, kraju Amazonek. Na końcu tej notatki widnieje coś jakby signum agencji informacyjnej: „opowiedział mi o tym Hotto (Otton), król rzymski". W innym zaś rękopisie arabskim czytamy wiadomość żywcem „made in Germany": „oni są narodem pozbawionym inteligencji", a „w księgach (znajdują się wiadomości), że twarze ich są podobne do psów" (relacja Ibrahima..., Kraków 1946, PAU).

„Wo sich aufhört die Kultur, fangt sich zu leben an Mazur" mawiali w 700 lat potem Niemcy, nie szczędząc czystości własnego języka dla podkreślenia dosadności myśli.

Gdzie równać się było polskim Piastom z ultrachrześcijańską nacją, która od dawna podniecała w sobie świętą nienawiść przeciw obrzydłym poganom, tak konieczną do apostolskich czynów i tylko czekała na realną sposobność kiedy apostolstwo i własna korzyść dadzą się jednocześnie zrealizować.

Jeszcze krzyżacy nie stanęli na ziemi chełmińskiej, a już cesarz Fryderyk II wydał manifest, buntujący Prusów przeciw Chrystianowi oraz usiłowaniom papieskim i oznajmił, że zwierzchność jego, wbrew wcześniejszym analogicznym oświadczeniom papieskim, sięga także tutaj. Była to jednocześnie przygrywka i celowa uzurpacja, na której w przyszłości miały się oprzeć tytuły niemieckie do ziemi pruskiej. Bo to nieprawda, że krzyżacy postawili w Prusach nogę w wyniku jakoby krytycznej sytuacji Konrada, po to by go wybawić od grozy najazdów pruskich. Jest to wersja historycznie późna, wynikająca z koniunktur przyszłości, tyle że podbudowana mocno na fałszerstwach i wytrwałej propagandzie, jak choćby ta o krwiożerczym ludzie „Burus".

Plan „Preussen" dojrzał do realizacji nie w partykularzu pruskim czy mazowieckim, ale w środowisku dworskim we Włoszech, gdzie zagrożony bezrobociem wielki mistrz, skompromitowanego m. in. szowinizmem narodowym, zakonu N. Panny Marii, równocześnie powiernik cesarski, Hermann v. Salza zwrócił uwagę swego władcy na aktualne możliwości przedsięwzięcia pruskiego. Istniała już kolonia inflancka na dalszej północy, która tworzyła górną szczękę cęgów, mających zmiażdżyć „pogański" wschód, szło o zmontowanie dolnej. Krzepły marchie nad łabskie i nadodrzańskie, w przyszłości znowu ramię kleszcz, które wymagało dopełnienia od wschodu. Należało wyzyskać słabość Polski i niezniszczoną jeszcze przez przymusowe wygnania żywą siłę zakonu. Hermann v. Salza wyczuwał odpowiedni moment i pragnął bez straty czasu i sposobności stworzyć fakt dokonany, brzemienny w następstwa, a zawoalowany w pozory legalności i bezinteresowności.

W r. 1228 wystawił Konrad w Bieczu pierwszy ze znanych dokument, nadający zakonowi ziemię chełmińską tytułem prawno-prywatnym za pomoc w podboju — nie obronie — Prus. Można powiedzieć najął fachowców, by mu przygotowali grunt pod własne polityczne plany. Kto mu **naprawdę** podsunął ten kondotierski na pozór interes, jest właściwie zagadką, aczkolwiek ślady prowadzą do niemieckich satelitów jego dworu. W każdym razie moment ten stanowił w systemacie Hermanowych planów bardzo ważne ogniwo. To jedno pewne, że Konrad ani przypuszczał, że jego nadanie ma tylko czysto formalne znaczenie i służy jedynie dla ratowania pozorów. Zakon wchodził ma pogranicze pruskie z jasno wytyczonym celem stworzenia na terenie z niemieckiej uzurpacji cesarskim, z woli tego cesarza, bastionu niemczyzny i jądra jej wpływów na wschodzie. Skromne nadania Konrada bledły wobec tajnego na 50 lat dokumentu Fryderykowego, który czynił krzyżaków panami ziemi i wody oraz życia i śmierci w podbitych okolicach pogańskich. Znaczenie Konradowych nadań było tym mniejsze, że już w r. 1230 dokonał Hermann dzieła pogodzenia cesarza z papieżem i także w Rzymie stał się rzecznikiem, odpowiednio bogobojnie spreparowanych planów pruskich. W ten sposób uzyskał dwustronną asekurację wobec ewentualnych przeciwników polskich. Na głos papieża ruszyły tysiące krzyżowców, głównie z Polski, by otwierać drogę zamysłom Hermana. Nawet bp. Chrystian narzędzie Innocentego, musiał ugiąć się przed przewagą dyplomacji zakonnej. Porzucony na pastwę Prusów, w niewoli przeczekał okres grabieży swych dóbr i wpływów przez zakon. Na końcu nie zostało mu nic innego jak przyjąć dyktat podziału ról, po którym utracił do reszty znaczenie i powagę.

Niewidzialna na razie zmowa zaciągnęła sieci nad krajem, który zaledwie budził się do samodzielnego bytu, a potencjalnie nie tylko nad nim. To zależało od siły i mądrości przeznaczonych na potem ofiar. „Rok 1230 stanowi epokową datę w dziejach dzisiejszym Prus Wschodnich — powiada Zajączkowski (Podbój Prus i ich kolonizacja przez Krzyżaków, Inst. Bałt. 1935)... z tą chwilą zakończył się w dziejach Prus okres, który by można nazwać staropruskim, rozpoczął się zaś nowy okres krzyżacko-niemiecki".

Teraz nareszcie pojawił się argument Konradowego zagrożenia, a w 50 lat po pamiętnym zamachu, gdy jego twórców nie było już wśród żyjących, zakon wydobył z tajemnych archiwów ów dokument Fryderykowski i przedłożył go do zatwierdzenia Rudolfowi z Habsburga. Było to już po pruskich powstaniach a przed uruchomieniem krzyżacko-luksembursko-brandenburskiego sprzysiężenia przeciw Polsce, gdy zakon wsparty o morze, wyzyskując „Drang nach Osten" z Saksonii, napływ osadników z Zachodu, posługując się przy tym i polską siłą osadniczą ze Śląska i Mazowsza, umocnił zdobycze miecza i myślał o nowych ofiarach.

„Podboju Prus dokonali krzyżacy z żelazną konsekwencją, ale i kamiennym sercem i nieludzkim sumieniem — pisze Zachorowski w zbiorowej historii politycznej Polski (Encyklopedia Polska PAU). — Zdrada i przekupstwo otwierały im niejednokrotnie drogę, straszliwa zemsta, dzikie okrucieństwo, rzeki krwi i zgliszcza miały umocnić ich panowanie i zabezpieczyć zdobycze, a postrach miał utrzymać w karbach podbite plemiona".

Już wtedy pewnie prosty lud pruski, widząc się tragiczną igraszką w niewoli jakiś ciemnych a przewrotnych mocy, odkrył, że losami jego ojczyzny rządzi przeklęty upiór Smętek, który ma moc przemieniania życia w koszmar. To samo twierdził później i twardy, pionierski Mazur, który szedł poszerzać ojczyznę, a stawał się wkrótce ofiarą ucisku i przemocy. — Prusy konały przez wieki w uścisku niemieckiego spisku, mafijnych planów, podstępu i gwałtu.

Polska w ciągu wieków nie potrafiła zakończyć, mimo wspaniałych okazji, tego drugiego okresu w historii Prus. Były chwile, gdy sama ludność, bunty kurfürstów i litera prawa dawały jej do ręki gotowe rozwiązania. Okres niemiecki trwał, jak to zamierzył Hermann v. Salza. W końcu Prusy stały się i katem polskiej niepodległości. W rękach Hohenzollernów stały się one polityczną racją, by Polskę odciąć od Bałtyku, a potem uśmiercić. — A gdy wstała po rozbiorach do nowego życia, Hitler w oparciu o tęże rację odegrał odwieczną tragifarsę odurzania z góry upatrzonej ofiary pozorami życzliwości, a potem wymierzył z premedytacją morderczy cios. Póki drugiego okresu dziejów pruskich, póty, według określenia Srokowskiego, Prusy były „workiem Eola" a od północy padał na Polskę złowrogi cień.

Mądrość ludowa bliżej była sedna rzeczy, niż wielu współczesnych, którzy wypełniali rowy całej Polski we wrześniu 1939 r. Ilu to Polaków zepchniętych z nienacka na kręty Smętkowy szlak szukało po omacku wyjaśnienia, skąd wzięła się brutalna przemoc, która ich wgniatała w przydrożne rowy. Ale to już minęło. Między Polską a Prusami nie ma żadnych kordonów. Wkroczyliśmy w trzeci okres historii, który od wieków był zaklętym Sezamem dla polskich pokoleń.

Pociąg stuka po szynach i mknie przez dawne pogranicze. Kiedyś czas był tu wszechwładnym panem i ostrzem mazurskiej siekiery znaczył dokąd sięga Polska a odkąd jej przyszłość. Po wiekach odwróciło się koło historii. Prysnął krąg wiekowych matactw i sprzysiężeń, aby wreszcie tej ziemi dane było poznać zagubiony szlak odwiecznych przeznaczeń. Czas zmieni jej oblicze, uleczy rany zadane przez wojenny kataklizm, czas będzie znowu pracował dla jej lepszego jutra. Pora zobaczyć ile zdziałał w ciągu minionego roku.

„...zdecydowana postawa Śląska w sprawie granicy na Odrze i Nysie łużyckiej ma szczególniejsze uzasadnienie. Współczesne tu pokolenia polskie uświadomiły sobie z niezwykłą wyrazistością cały tragizm tej ziemi jako regionu pogranicznego, zdanego na tak silną infiltrację szkodliwych wpływów obcych. W tym więc dążeniu do radykalnego przesunięcia granicy na zachód obok argumentów rzeczowych, rozumowych, geopolitycznych, strategicznych i gospodarczych przemawia również z całą siłą i instynkt polskiej grupy narodowej na Śląsku. Grupa ta nie chce już przeżywać więcej fluktuacji politycznych, nie chce, aby stale podchodzono do niej jako do „Grenzvolku".

(Alojzy Targ: Śląsk w okresie okupacji. Poznań 1946).

Kazimierz Gołba

Śląski wrzesień 1939

Wojna na Śląsku zaczęła się wcześniej niż w innych częściach Polski. Na długo przed 1 września 1939 roku! Już bowiem w drugiej połowie lipca **zaczęła radiostacja katowicka nadawać codzienne audycje w języku niemieckim,** przeznaczone dla słuchaczy w Rzeszy, przysposabianych huraganowym ogniem propagandy hitlerowskiej do wojny odwetowej przeciw Polsce, dopuszczającej się rzekomo nieludzkich gwałtów nad mniejszością niemiecką. Spokojny i rzeczowy ton tych audycji, zbijających systematycznie kłamstwa oszczerczej kampanii, uznany został przez władze Rzeszy za nową prowokację. W pierwszych dniach sierpnia zaczął odpowiadać Katowicom w łamanej polszczyźnie, poprzedzanej pięknym mazurem z „Halki" „Reichssender Breslau mit angeschlossenen Sendern Gleiwitz, Goerlitz und Troppau".

Równocześnie z tą wojną w eterze przystąpiły władze niemieckie do likwidacji ostatnich komorek polskiego życia narodowego na Opolszczyźnie, a do wzmożenia działalności podziemnej na terenie województwa śląskiego rozwiązanych przez władze polskie organizacyj z „Volksbundem" i „Jungdeutsche Partei" na czele. W ramach tej akcji zaczęło się na wielką skalę przerzucanie na polską stronę wszelkiego rodzaju dywersantów, działających według ścisłych instrukcyj. Siali oni panikę plotką, ściągali z rynku pieniężnego bilon srebrny, dezorganizowali siłę obronną państwa od wewnątrz, ułatwiali dezercję Niemców z armii polskiej, przemycali broń i przygotowywali podziemną sieć ośrodków bojowych.

14-go sierpnia zamknęli Niemcy granicę na Śląsku dla t. zw. małego ruchu. Polskie placówki celne i policyjne musiały się wśród szykan wycofać z dworców granicznych, leżących na terytorium Rzeszy. Zamknięcie granicy miało na celu osłonę mobilizacji i koncentracji sił Wehrmachtu do natarcia na Polskę. 17 sierpnia ukazało się zarządzenie wojewody Grażyńskiego o zamknięciu granicy od strony polskiej. Mobilizacja polska postępowała jednak bardzo wolno i nieskładnie. **Wciąż jeszcze nie widziało się w Katowicach żadnej koncentracji wojsk. Natomiast odbywała się inna mobilizacja: powstańców śląskich,** osiwiałych weteranów i ojców rodzin, bohaterów walk z lat 1919—1921, oraz t. zw. **Młodzieży Powstańczej,** wychowywanej w duchu ojców, **i — śląskich harcerzy.** Tych ostatnich ściągnięto w połowie sierpnia wprost z obozów wakacyjnych w Beskidach z zamiarem użycia ich do służby pomocniczej.

W tych właśnie dniach przeżył polski Śląsk olbrzymią manifestację narodową. Był nią **pogrzeb Wojciecha Korfantego,** niezłomnego wodza ludu śląskiego w walce o polskość, zniszczonego — w polskim więzieniu. Za trumną największego z Ślązaków szły ulicami Katowic delegacje z całej niesanacyjnej Polski, lecz przede wszystkim sto kilkadziesiąt tysięcy tego ludu, który On po wiekach połączył z Macierzą. Rozbici sztucznie przez wysiłki sanacji z woj. Grażyńskim na czele, zjednoczyli się tutaj znowu, mimo dywersyjnej manifestacji powstańczej, urządzonej równocześnie przez Grażyńskiego — w Boguminie.

Nowe chmury na horyzoncie politycznym Europy wywołały panikę wśród tych, którzy byli na Śląsku przybyszami. Osiągnęła ona punkt kulminacyjny w dniu 23 sierpnia, powodując poważną dezorganizację ruchu pasażersko-bagażowego na kolejach. W najszczęśliwszym położeniu były żony dygnitarzy państwowych i dyrektorów ciężkiego przemysłu, które umykały samochodami państwowymi i firmowymi. **Ucieczka znacznego procentu przybyszów,** którzy na Śląsku zajmowali najlepsze posady, **wywarła na rdzennej ludności śląskiej, uważanej za ludność drugiej klasy, znaczne rozgoryczenie,** podsycane skwapliwie przez agentów niemieckich i radio wrocławskie. **Ślązacy zrozumieli, że w krytycznym momencie znów mogą zostać sami, jak byli dotąd — zawsze.**

Ale powstańcy i harcerze śląscy nie poddali się tym nastrojom. Wzięli się gorliwie do kopania na skwerach i placach miast śląskich rowów przeciwlotniczych, porywając swym przykładem innych. Jednocześnie wzmacniali stale stan swego pogotowia. Powstańcy byli uzbrajani i używani coraz więcej do zwalczania dywersji zamiast policji granatowej, która już wówczas okazała się niepewna, bo zbyt wielu jej funkcjonariuszy było na służbie — Hitlera. W miejscowościach przygranicznych współdziałali powstańcy ze strażą graniczną, a nawet obsadzali niektóre obiekty szczególnie zagrożone napadami t. zw. „Freikorps'u", niemieckiej organizacji bojowej, złożonej ze śląskich Niemców i renegatów, na czele której stał SS-Obersturmbannfuehrer Willi Pisarski w Bytomiu. Bojówkarze ci pod koniec sierpnia przezkraczali granicę polską noc w noc. Raz udało im się obsadzić kopalnię w Michałkowicach, z której dopiero wyparli ich powstańcy. Atakowali również mniejsze dworce kolejowe.

Harcerze pełnili funkcję łączników, bądź prowadzili punkty wyżywienia dla maszerujących oddziałów wojskowych, oraz ewakuowanej ludności cywilnej. Broń otrzymali dopiero po wybuchu wojny, względnie nawet po wycofaniu się wojska.

Postępowanie władz wojskowych na Śląsku w tym okresie jest największą zagadką i bez źródłowego zbadania wszystkich tajemnic dowództwa wyjaśnione być nie może. Między 23 a 28 sierpnia można było zauważyć na kolejach i szosach Śląska wzmożony ruch wojsk i postępy częściowej mobilizacji. W tym też czasie obsadziło wojsko bunkry graniczne naprzeciw Bytomia, przygotowane od kilku lat. Nad Śląskiem pojawiły się wojskowe balony obserwacyjne. Tymczasem 28 sierpnia nastąpiła nieoczekiwana zmiana. Powiatowe Komendy Uzupełnień przestały mobilizować, a zaczęły pakować akta do ewakuacji. Jednocześnie zaczęto wycofywać wojsko z pozycyj granicznych. 30 sierpnia zarządzono ewakuację ludności cywilnej z pasa granicznego. 31 sierpnia zdjęto już ostatnie druty telefonu polowego w Świętochłowicach. Wycofywanie się wojsk przed rozpoczęciem działań wojennych miało charakter nieprzemyślany i dorywczy. Np. w bunkrach betonowych pod Orzegowem zostawiono poważne zapasy konserw i mydła, które rozebrała ludność miejscowa. Były rodziny, które prały tym mydłem jeszcze w trzecim roku wojny!

Pozycje opuszczone przez wojsko zajęli powstańcy. Stało się jasne, że na ich barkach spocznie główny ciężar obrony śląskiego okręgu przemysłowego.

Na wiele godzin przed ukazaniem się pierwszych bombowców „Luftwaffe" nad terytorium polskim nastąpiło silne uderzenie Freikorps'u. Wieczorem 31 sierpnia, wkrótce po zapadnięciu zmroku silne bandy przekroczyły granicę polską w kilku punktach bytomskiego klina. Jedna z nich uderzyła na hutę „Zygmunt" w Łagiewnikach. Inna zdołała opanować kopalnię w Orzegowie i zatknąć na jej szybie flagę ze swastyką. Miejscowi powstańcy przystąpili natychmiast do akcji, w krwawej utarczce odbili kopalnię i zerwali flagę. Najsilniejszej grupie w liczbie około 150 uzbrojonych po zęby hitlerowców, na czele których stał sam Willi Pissarski, udało się przedrzeć aż do Michałkowic (przez Maciejkowice) z zamiarem opanowania kopalni „Michał". Tu wywiązała się wielogodzinna, mordecza walka, najcięższa ze wszystkich, jakie w dniach tych stoczyli powstańcy. **Obroną Michałkowic kierował ówczesny ich burmistrz, por. rez. Walenty Fojkis, głośny komendant pułku z III powstania.** Banda została doszczętnie rozgromiona, Willi Pissarski zginął. Niemcy zrobili z niego bohatera, a w kilka dni później sam dr. Ley „heilował" nad jego grobem. W Michałkowicach utrzymali się powstańcy do rana 3 września, aż stamtąd wyparł ich Wehrmacht.

Dzień 1 września był dniem niepodzielnej chwały powstańców. Walczyli oni w Rudzie Śląskiej, Makoszowach, Pawłowie i Kończycach, trzymali się w opuszczonych przez wojsko Świętochłowicach. Wojsko polskie, zaskoczone wtargnięciem Niemców stoczyło w dniu tym cięższą walkę w Rybniku i w Pszczynie, gdzie również bili się u jego boku powstańcy. Poza frontem uwijali się oni po miastach, likwidując wystąpienia „piątej kolumny" przez doraźne egzekucje. Związek Powstańców wydał o tych walkach własny komunikat.

Katowice miały w pierwszym dniu wojny zorganizowaną jedynie obronę przeciwlotniczą. Artyleria biła do samolotów niemieckich dość gęsto z terenu huty Baildon i Hałdy Załęskiej. Ale dachy ważniejszych budynków, jak drapacz przy ul. Żwirki i Wigury lub pałac sportowy przy Raciborskiej bronione były karabinami maszynowymi — harcerzy. W dniu tym odbywała się ewakuacja urzędów, czynna była jeszcze poczta, kolej i tramwaje.

73 pułk katowicki dzień ten spędził w koszarach. Dopiero w nocy na 2 września między godz. 1 a 2 wymaszerował kompania za kompanią z furgonami i orkiestrą na końcu — w kierunku na Mikołów. Pułk ten stoczył całodzienną bitwę z przeważającymi siłami niemieckimi, wyposażonymi w zmotoryzowaną artylerię polową, między Wyrami a Mokrem Śląskim, gdzie został ostatecznie rozbity. Bitwa ta rostrzygnęła o losie Katowic już w dniu 2 września,

Był to dzień ogólnego załamania się, pod każdym względem krytyczny. Rano wyszły ostatnie numery pism śląskich — „Polski Zachodniej" i „Siedmiu Groszy". „Polonia", która wydała 1 września dwa numery, nie ukazała się już wcale. Władze z wojewodą Grażyńskim na czele opuściły Katowice w lśniących limuzynach. Przez miasto przeciągały oddziały cofającego się wojska. Fala uchodźców z terenów zajmowanych przez Niemców wzmagała się z godziny na godzinę, tarasując główną arterię przelotową. Przewalała się nędza ludzka pieszo, na wózkach ręcznych i wozach, nierzadko z bydłem domowym. Tramwaje były nieczynne. Około godziny 17 zamilkła radiostacja katowicka w Brzezince (brynowska została poprzedniego dnia rozmontowana i wywieziona). W ostatnim, dramatycznym apelu wzywała Instytut Bakteriologiczny w Warszawie o przysłanie w tym jeszcze dniu na lotnisko katowickie 5000 rurek z surowicą przeciwtężcową i tyleż z surowicą przeciwoparzelinową. Samoloty „Luftwaffe" bezkarnie grasowały nad miastem. Działa przeciwlotnicze wycofano, a harcerze z kaemami na dachach nie byli groźnymi przeciwnikami powietrznych piratów Goeringa. Zresztą OPL rozprzęgała się. Zaniechano nawet ogłaszania alarmów, których w powszechnym chaosie niepodobna już było przestrzegać. Wieczorem 2 września nie widziano już w Katowicach ani wojska, ani żadnych władz. Wycofała się również policja, a część jej ukryła się po prostu w domach i zrzuciwszy mundury oczekiwała na zmianę. Wprawdzie jeszcze nazajutrz, w niedzielę 3 września, widziano policjantów konnych na straży konsulatu niemieckiego, lecz w świetle stosunków, panujących wówczas w mieście można mieć poważne wątpliwości, czy byli to policjanci prawdziwi.

2 września wieczorem brakło w Katowicach prądu. Był to niechybny znak, że elektrownia chorzowska dostała się w ręce Niemców, którzy przystępują do bezpośredniego cernowania Katowic.

W takim momencie **władza w stolicy województwa przeszła całkowicie w ręce samorzutnie utworzonej straży obywatelskiej,** złożonej głównie z powstańców i harcerzy. Inicjatywa dalszej walki wyszła tym razem z dołów powstańczych, bo góra opuściła Śląsk wraz z woj. Grażyńskim. Stąd trudno mówić o jednolitym dowództwie,

Sztuka ludowa polskiej Warmii

św. Jan. Rzeźba z pocz. XVI w. Pow. Licbork Warm. Muzeum Mazurskie w Olsztynie.

Madonna z końca XV w. z h. zbiorów w Licborku Warmijskim.

Meblarstwo na Warmii. Szafa narożna, przez lud zwana „rogal".

Apostol (?). Rzeźba z pocz. XV w. Miejscowość nieznana.

skoro było ono przekazywane z rąk do rąk. Uciekający zarząd powierzył komendę Rudolfowi Niemczykowi, ten zaś po południu 2 września złożył ją w ręce Jana Faski, znanego obrońcy Góry św. Anny, który sprawował ją do godzin rannych 3 września. Później — w ogniu najgorętszych walk dowodzili przygodnie wojskowi, którzy stracili kontakt ze swymi jednostkami.

W nocy z 2 na 3 września w ciemnym mieście panował spokój. Ulicami krążyły patrole powstańcze i harcerskie. Straszliwą ciszę nocną zmącił rozpaczliwy krzyk jakiegoś człowieka, który chodził ulicami Jagiellońską, Plebiscytową, Ligonia i Powstańców, nawołując: „Ludu śląski, zbudź się!" Przed samym świtem odszedł z Katowic ostatni pociąg ewakuacyjny w kierunku na Olkusz.

Rankiem 3 września sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że główna siła „Freikorps'u", którą prowadził SA-Truppenfuehrer Wulfen i późniejszy „Kreisleiter" Katowic Joschke, napierała od Hajduk na Załęże (przedmieście zachodnie), a druga pod Piontkiem maszerowała na Dąb. Na południe zaś zwycięski Wehrmacht, gnając przed sobą niedobitki 73 p. p., obsadzał Piotrowice i Ochojec naprzeciw Brynowa. Wszystkie te grupy miały spotkać się w śródmieściu Katowic.

I kiedy Niemki piekły Kuchen i przygotowywały kwiaty na powitanie zwycięzców, komenda powstańcza postanowiła pokrzyżować plany niemieckie. Zamknięto wszystkie wejścia do miąsta od południa, zachodu i północy, aby utrzymać arterię wylotową na wschód dla cofających się żołnierzy i tych wszystkich, którzy jeszcze będą zmuszeni uchodzić. Szosę tę kontrolowały od czasu do czasu pojedyńcze polskie tankietki od strony Mysłowic. Ale chodziło również o honor stolicy Śląska. Musiała ona krwią udowodnić swą polskość.

Amunicji jednak było skąpo. Ściągnięto jeszcze na autach ciężarowych z Sosnowca nieco starych karabinów rosyjskich i austriackich z pierwszej wojny światowej, do których nie można było dopasować kul. Niektóre z nich miały zamki nieczynne. Rozdano je jednak patrolom ulicznym dla postrachu, bo trzeba było wciąż legitymować podejrzanych. Bywały wypadki, że Niemcy podszywali się za powstańców i z bronią chodzili po mieście, mając pod biało-czerwoną opaską — drugą ze swastyką.

Bój o Katowice zaczął się 3 września po południu. Toczyła go wspólnie garstka harcerzy i powstańców pod komendą starszego sierżanta W. P. na południowym skraju parku Kościuszki. Harcerze strzelali z erkaemów i karabinów zwykłych, siedząc na drzewach bądź leżąc w zaroślach, a przede wszystkim ze szczytu 50-metrowej, żelaznej wieży spadochronowej, oraz drugiej — obserwacyjnej. Ogień z tych dwu wież, dominujących nad całą okolicą, uniemożliwiał czołówce Wehrmachtu postępy na szosie brynowskiej. Również atak „Freikorps'u" na flankę parku został odparty i napastnicy cofnęli się pod wieczór do brynowskiego „dominium" czyli dworu. W walce o park Kościuszki wzięły także czynny udział harcerki, zwane przez Niemców „Flintenweiber". Do złamania oporu wież użyto działek przeciwpancernych, względnie dział polowych o kalibrze 3,7 cm, które niemiecki generał z dalmierzem w ręku nastawiać miał osobiście. Ciała bohaterskich obrońców wieży spadochronowej, między którymi było kilka harcerek, zrzucili nazajutrz Niemcy z wysokości 50 metrów. Podobnie postąpili z harcerzami, poległymi na dachu drapacza.

Równie bohatersko broniło się tej niedzieli Załęże. Stacjonowany w tamtejszym dworze, ostatni oddział W. P. wsparty przez powstańców, odparł pod wodzą kpt. Komandera wszystkie ataki „Freikorps'u".

Niemcy nie odważyli się wkroczyć do ciemnych Katowic w nocy na 4 września, obawiając się zasadzki. Wywiad motocyklowy, który zjechał w dół ulicą Kościuszki, zawrócił szybko do Brynowa. Udało się natomiast pewnej grupie freikorzystów przedostać się około godz. 2 na plac Wolności i obsadzić przy pomocy „piątej kolumny" szereg domów także przy Gliwickiej i 3 Maja. Przede wszystkim usadowili się na dachach narożników, skąd mogli razić obrońców i wskazywać wkraczającym Niemcom ogniska polskiego oporu. Trzeba zaś wiedzieć, że w bezpośrednim sąsiedztwie placu znajdował się najsilniejszy bastion polski — zamieniony w twierdzę „Dom Powstańca". (dzisiejsze kino „Zorza").

Walki w mieście rozgorzały o świcie 4-go września równocześnie w kilku punktach. **Z Załęża wycofywał się ów bohaterski oddział kpt. Komandera w sile około 80 ludzi.** Na czele jego jechał sam kapitan w t. zw. „łaziku" (Polski Fiat) wydając rozkazy, a za nim na zwykłym furgonie ciężki karabin maszynowy, który ubezpieczał odwrót. Żołnierze zaś z powstańcami posuwali się pod ścianami domów z obu stron ulicy. Na Gliwickiej oddział ten został ostrzelany z domów, zajętych przez „Freikorps". Bramy były zamknięte i żołnierze nie mieli się gdzie schronić. Jeszcze cięższa była przeprawa przez plac Wolności, który trzeba było okrążać dwiema partiami z dwu stron. Działo się to w chwili, gdy już „Dom Powstańca" nawiązał walkę z Wehrmachtem o przejście przez tunel pod koleją z Mikołowskiej na Matejki. Kule gwizdały z wszystkich stron. Ledwo dotarli strudzeni do wylotu 3 Maja, koło gimnazjum żeńskiego wpadli pod nowy obstrzał. Na rogu Słowackiego padły oba konie furgonu. Nieco dalej raniono por. Kościelniaka, na prawym zaś chodniku trafiony został powstaniec Emanuel Gruszka. Dalsze posuwanie się ku rynkowi było niepodobieństwem. Oddział skręcił w ul. Sowackiego, by się przebić ku halom targowym. Ale i tu padły strzały z domu nr 9. Żołnierze odpowiedzieli ogniem (ślady kul do dziś są widoczne!) i wreszcie dotarli do hal, gdzie ranni gasili pragnienie porzuconymi pomidorami. Stamtąd przez Bogucice dobrnęli do Sosnowca, gdzie rannych zostawiono w szpitalu.

Równocześnie wrzała bitwa o katowicki dworzec. Powstańcy strzelali gęsto z wieży ciśnień i z górnych pięter gmachu dworcowego. Żołnierze Wehrmachtu wdzierali się tam przez gazownię. Po godzinie 9-tej dworzec został zdobyty.

Tymczasem od strony Dębu dotarła do rynku grupa Piontka, przetrzebiona znacznie strzałami powstańczymi z zabudowań przemysłowych przy ul. Chorzowskiej. Walki jej opisał barwnie Georg Bartosch w książce „OS wird frei". Gdy banda wkraczała z ul. Mickiewicza na rynek i miejscowi Niemcy wybiegli na jej powitanie, przemówiły cekaemy powstańcze. Rynek i przyległe ulice opustoszały natychmiast. Radość zmieniła się w popłoch. Niemki gubiąc kwiaty walczyły o schronienie w bramach. Gmach Miejskiej Kasy Oszczędności, teatr i szereg kamienic obsadzone były przez powstańców.

W międzyczasie Wehrmacht sforsował przejście przed „Domem Powstańca" i połączył się z grupami „Freikorps'u". Wtedy zaczęto wyławiać broniących się powstańców i tych, których nie zabito na miejscu, prowadzono na podwórze nieistniejącego dziś domu przy ul. Zamkowej, gdzie ich rozstrzeliwano. Między straconymi znalazł się prezes Związku Powstańców na powiat katowicki, Franciszek Feige i wielu znanych obywateli.

Około godz. 11-tej ustała walka na rynku i wtedy ponownie wypełzły z bram „heilujące" Niemki. A oni — dumni zwycięzcy — rozrzucali chorągiewki ze swastyką. Nagle stała się rzecz, jakiej nikt nie przewidział. U wylotu ul. Piłsudskiego (Dziś Warszawskiej), tuż przed sklepem Kuttnera wysunęła się z „heilującego" tłumu młoda dziewczyna z bukietem kwiatów. Podbiegła do niemieckiego oficera, idącego na czele kompanii Wehrmachtu. Z bukietu huknął strzał i Niemiec zwalił się na bruk.

Nie był to koniec walki. Przez cały dzień do wieczora wznawiała się strzelanina w różnych punktach miasta. Padały strzały powstańcze z wieży ewangelickiego kościoła, strzelano na Zamkowej, z dachu Giełdy Zbożowej, z domów wojewódzkich. Najdłużej bronił się „Dom Powstańca" przy ul. Matejki. Zdobywali go Niemcy przez całe trzy dni, walcząc o każdą kondygnację schodów, o każdy pokój, wreszcie o każdą piwnicę. **To była śląska Westerplatte. Bezimienni bohaterzy, wierni Polsce do ostatniego naboju i ostatniego tchu — ulegli w nierównej walce w dniu 6 września, kiedy czołówki Wehrmachtu dotarły już do Krakowa.** Takim wspaniałym akordem zakończył się wrześniowy epos dwóch pokoleń śląskich: weteranów i młodych orląt. (O walkach w „Domu Powstańca" artykuł „Die Katakomben von Kattowitz" w „Der oberschl. Wanderer" z września 1939 r.).

Niemcy przyznawali, że zdobycie Katowic kosztowało ich 200 zabitych. Ilu poległo powstańców i harcerzy — tego nikt nie zliczy. Nikt nie ustali większości ich nazwisk. Ciała ich spoczęły w masowym grobie w Panewniku, bądź tam, gdzie ich rozstrzelano doraźnie: na hałdach lub w okolicznych lasach, bądź wreszcie spłonęły w gliwickim krematorium. Niektórych zamknięto razem z Żydami w katowickiej synagodze, do której wieczorem 7 września wrzucono bomby zapalające. Kłamstwem jest jednak relacja „Kattowitzer Zeitung" (z dnia 9 września 1939 r.), jakoby w synagodze bronili się wówczas powstańcy. Pożar bożnicy był dziełem Gestapo. Sami sprawcy nazwali go wówczas cynicznie „Fackelzugiem".

A potem egzekucje szalały jeszcze długo we wszystkich miastach i osadach „oswobodzonego" Śląska.

Prawdziwe oblicze ludu śląskiego i jego stolicy zasłonić miała przed całym światem powódź przywiezionych z Rzeszy hitlerowskich flag fabrycznego wyrobu i transparentów, które krzyczały czerwienią wpoprzek wszystkich ulic: „Wir danken unserem Fuehrer!"

Nam jednak mylić się nie wolno. Wymowa krwi przelanej — to wyrok ostateczny. Uznać go musi każde serce polskie: lud śląski dobrze zasłużył się Ojczyźnie.

Janina Zabierzewska-Żelechowska

Południe w Choinie

Z powodzi wzgórz i dolin upragnionym oczom
trysnął staw ujarzmiony białą mocną tamą. —
Ostre leśne zapachy chwieją się na zboczach
wkrąg szeroko rozwartych jak zielone bramy.

Tańczące z lekkim wiatrem — wśród skalnych załomów
brzozy — jak panny młode za ręce się wiodą —
nie pomne burz przewianych i przerażeń gromów
w beztroskich chylą pląsach nad głęboką wodą. —

W stawie się niebo odbija i zieloność świerków,
wyległych gromadami na pobliskie stoki —
i cisza się rozsiadła dostojnością wielka
bijąca z lasów tajemnic, z niezgłębionych mroków.

Wonny nas wiatr odurza — spokój się w nas wlewa
i prosta mądrość zaklęta w każdym szumnym drzewie —
Spojrzenie miłujące bezchmurnego nieba
topi troski człowiecze w słonecznej ulewie. —

Powraca się do miasta. — Powoli. Z czułością,
żując chwile przeżyte w sercu ścichłym nagle —
— — Jaskrawa elektrownia rozpęka trzeźwością —
i lot oczu opada z chmur welnistych żagli. —

Zbigniew Pejot

Reprezentacyjny teatr stolicy

Państwowy Teatr Polski w Warszawie rozpoczął nowy sezon 1946/47 wznowieniem komedii M. Bałuckiego „Grube Ryby" z mistrzem Solskim w roli Ciaputkiewicza.

Rozumiałem pociągnięcie repertuarowe dyrekcji teatru w czerwcu br. Było to z jednej strony ratowanie budżetu przez przyciągnięcie publiczności kasowym nazwiskiem mistrza Solskiego, a z drugiej — chęć pokazania stolicy sędziwego artysty w jego jubileuszowej roli.

Oba życzenia zostały spełnione: w ciągu 34 przedstawień, mimo podwyższonych cen, tłumy warszawiaków, przy stale przepełnionej widowni, wiwatowały na cześć zawsze młodzieńczego Ludwika Solskiego, zasilając poważnie kasy teatru.

Po przerwie wakacyjnej wszyscy spodziewaliśmy się, że Teatr Polski, przeszedłszy dzielnie przez wstrząsy upaństwowienia w ubiegłym roku, zacznie pracować na pełnych obrotach i otworzy sezon jakimś nowym wielkim widowiskiem, godnym tradycji tego pięknego teatru, prowadzonego przecież przez jednego z najtęższych znawców teatru, jakim jest Arnold Szyfman.

Tymczasem — teatr ruszył wznowieniem.

I zamiast na progu nowego sezonu zajmować się planami na przyszłość, perspektywami nowych wzruszeń — musimy oglądać się w przeszłość, aby zrobić przegląd osiągnięć Teatru Polskiego, widocznie zdaniem kierownictwa wartościowych, jeżeli je jeszcze raz podaje publiczności.

Utarło się już, że nie wiele się mówi o poziomie artystycznym widowiska, gdy bierze w nim udział Ludwik Solski. Wiecznie młody Solski jest poza wszelkimi rozważaniami krytycznymi. Jest fenomenem teatralnym na miarę światową. To nie ulega wątpliwości. Ale czy Solski nie przyćmiewa reszty zespołu ze szkodą dla poziomu całego widowiska? (Mistrzu — to nie wyrzut — to podziw!)

Pytanie, czy publiczność oglądałaby tak chętnie „Grube Ryby", gdyby nie Solski? Pytanie zdawałoby się scholastyczne, ale nie pozbawione podstaw. Otóż publiczność w Warszawie mówi, że jest „skazana na Teatr Polski". „Jeżeli mam iść do teatru — to wybieram Polski, bo dobrze się czuję w jego miłej atmosferze" — powiada przeciętny warszawiak.

Dziś, kiedy oczekujemy od teatru, podobnie jak od literatury, problematyki, która nawarstwiałaby w naszej świadomości zdobycze nowych czasów, uświadamiała zadania i cele naszej rzeczywistości — jedynym usprawiedliwieniem dla wystawienia takich sztuk jak „Grube Ryby" byłby b. wysoki poziom artystyczny, bo — mój Boże — jakie, tak ważne dzisiaj, aspekty społeczne ma ta komedia? Żadnych! A więc Solski. A reszta zespołu? Dominiak, Godik, Butkiewicz — poprawni, kobiety — słabe, Nader — nawet w swej maleńkiej roli zły. A pamiętamy w tych rolach takich aktorów jak Frenkiel, Kamiński, Lubicz-Sarnowska, Szyllinżanka. Nazwiska mówią same za siebie.

„Grube Ryby" w Państwowym Teatrze Polskim — to Solski. I tylko Solski. Na inaugurację Teatru Polskiego czekała z tęsknotą cała Warszawa. Frekwencja przeszła wszelkie oczekiwania, 113 przedstawień — prawie wszystkie kompletami.

Czy wznowienie pociągnie publiczność? Może zmiany w obsadzie zainteresują: z powodu choroby Barszczewskiej rolę „Lili" grała (nie zauważona — a szkoda!) — Lubieńska, Ślaza (po Osterwie) — ma grać dawno nie widziany Janusz Strachocki. Ale wydaje mi się, że te sprawy zajmują nie wielką liczbę ludzi interesujących się teatrem. Przeciętny widz nie zawsze wiedział czy Ślaza grał Osterwa czy Merunowicz, który go wybornie naśladował. Zdarzyło się raz, że jedna z pań siedząca w towarzystwie znanego literata rzekła zgorszona: „Czy też pierwszy Państwowy Teatr Polski na prawdę nie mógł znaleźć do roli Ślaza aktora, który by nie seplenił?" Powie mi ktoś na to, że społeczeństwo trzeba wychowywać artystycznie. Zgoda. Czy poza „Lillą Wenedą", która stanowi dodatnią pozycję w osiągnięciach artystycznych Teatru Polskiego — następne przedstawienia były tak wspaniałe, aby były elementem kształcącym artystycznie? „Majątek albo Imię", nie pozbawiona aktualności, ale ramolowata komedia Korzeniowskiego, bardzo sympatycznie ożywiona przez reżysera (Arnold Szyfman) scenami w Ogrodzie Saskim, w pierwszym akcie, denerwowała widzów 66 razy zimną grą Lindorfówny, osoby bez serca, ale nie

Tadeusz Mikulski

Annales Towarzystwa Mickiewiczowskiego

W diariuszu faktów kulturalnych roku 1946 znajduje się jubileusz dość rzadki w naszej epoce: **60-lecie Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.** Kultura polska tylko w niektórych fragmentach rozwija się na podstawie prawa kontynuacji. Znane warunki polityczne, ostatnio także i społeczne, sprawiły, że niemal każde pokolenie rozpoczyna swoją pracę od nowa, nie troszcząc się o poprzedników. Tak już kształtuje się polska rzeczywistość — by powiedzieć dla żartu, w którym przecie jest i prawda — gdzieś od epoki wojen szwedzkich. Zasada anty-kontynuacji jest tylko wyjątkowo przejawem twórczości. W jakże licznych wypadkach wyraża się w ten sposób prawo swoistej konieczności historycznej. Zaczynamy od nowa, ponieważ dorobek poprzedni zniszczał lub został zmarnowany. W tych warunkach 60-lecie jednego z towarzystw naukowych humanistycznych, które zdołało przetrwać jedną i drugą wojnę oraz utratę niepodległości, urasta do wymiarów zdarzenia kulturalnego. Prawdopodobnie nie ulegniemy jego patosowi, jeśli w roku jubileuszowym przebiegniemy **annales** Towarzystwa Mickiewiczowskiego. Dla samej ich dawności, warto je pobieżnie przekartkować.

Powstało w r. 1886. To sam matecznik pozytywizmu. Każda epoka umiała wykształcić formy własne w zakresie życia umysłowego. Np. wiek Oświecenia — salony. Wiek XIX prasę codzienną i wszelkie typy czasopisma. W tym bliższym zakresie epoka pozytywizmu rozwija organy życia naukowego. Czyni tak zgodnie ze swoim hasłem podstawowym: bowiem pogląd na świat (wówczas mówiono: światopogląd) pozytywizm zawdzięczał nauce. Kultura naukowa drugiej połowy XIX w. szuka dla siebie form organicznych, w miarę rozwoju poszczególnych studiów. Przy tym coraz wyraźniej nauka podlega procesowi specjalizacji nowożytnej. Tak powstaje towarzystwo naukowe jako idea organizacyjna. To już nie jest zespół dyletantów, uprawiający naukę na poziomie zbieractwa, „Klub Pickwicka" albo antykwariat. Jest to grupa badaczy, która dokonała wyboru metod lub materiału. I na podstawie tożsamości założeń lub stosunku do przedmiotu chce stanowić środowisko jednolite i twórcze. Zespół dąży do posiadania własnego organu: zostaje nim w sposób naturalny periodyk naukowy. Tak epoka pozytywizmu rozwinęła formy związku naukowego we wszelkich rodzajach jego aktywności. Oto geneza ogólna Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza.

Ale jego tło widzimy zupełnie konkretnie. To Lwów lat osiemdziesiątych, z uniwersytetem, z katedrą historii literatury polskiej. Zasiada na niej Roman Pilat, wielki uczony swojej epoki, to znaczy pozytywista w studiach literackich, ograniczający badania do faktów biograficznych i do bardzo precyzyjnej krytyki tekstu. W terminologii swojego czasu jest to uczony-filolog. Ambicje Pilata, zamiłowanego pedagoga, idą także w kierunku szkoły naukowej. Dnia 8. maja 1886 został podpisany przez grupę młodych uczonych, nauczycieli gimnazjalnych, ossolińczyków, księgarzy — akt założenia Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza. Grupa odważnych założycieli szuka naturalnego oparcia w osobie Pilata. Ideologia naukowa zespołu jest jasna: zgromadzić badaczy wokół żywota i twórczości Mickiewicza. Tym intencjom braknie świadomego przewodnictwa, metody zbiorowego warsztatu. Prof. Pilat, przyjąwszy obowiązki organizatora Towarzystwa i jego pierwszego prezesa, wziął na siebie trud szczególnie odpowiedzialny: kierowania entuzjazmem, który może przygasać. Spostrzegamy jasno, że wszystkie elementy: idea towarzystwa, osoba profesora, pojęcie szkoły filologicznej — należą w istocie do podstawowych składników kultury naukowej pozytywizmu.

Nazwa Towarzystwa określa dostatecznie jego przedmiot: to Mickiewicz. Podobne oznaczenie treści nie jest nowością w nauce europejskiej, w której zespoły badaczy pracują wokół postaci wielkich pisarzy. Sytuacja konkretna jest poza tym szczególna. Historia literatury w Polsce dopiero powstaje jako nauka, zajmuje pierwsze katedry, kształci pierwszych pracowników. W tym momencie studium podobne ograniczenie badań do jednego poety musiało wydać się Pilatowi szczególnie trafne. Tak powstała generacja zorganizowanych po raz pierwszy historyków literatury, mickiewiczologów. Roman Pilat urabiał ich na specjalistów.

Grupa założycieli podjęła rychło wydawnictwo własne „Pamiętnika Towarzystwa". W ten sposób realizowała się druga spośród podstawowych ambicji stulecia: periodyk naukowy. Zgodnie z wymaganiem statutu był to periodyk, w którym przez 6 tomów narasta z wolna — pod czujnym okiem redaktora — wiedza o Mickiewiczu, w zasobach nowych źródeł, przyczynków, komentarzy analitycznych. Wydawnictwo „Pamiętnika" w doborze materiału i współpracowników było wielkim sukcesem pedagogii naukowej Pilata. Pojęcie szkoły, zacieśnione pozornie do terenu seminarium, ulegało wyraźnemu rozszerzeniu na zespół mickiewiczowski.

Niezadługo praca w grupie redakcyjnej przestaje zadawalać czy wystarczać. Towarzystwo podejmuje przedsięwzięcie nierównie bardziej ambitne: wydanie „Dzieł" Mickiewicza. Edycja ta miała swoją historię — niezakończoną (z zamierzonej całości ukazało się jedynie w różnych nawrotach pracy 6 tomów). Towarzyszyły jej zabiegi naukowe, dziś w pewnym sensie zbanalizowane, podówczas zupełnie odkrywcze. Zespół redakcyjny wydania ustalał pod kierunkiem Pilata zasady krytyki tekstu oraz elementarne nakazy edytorstwa naukowego. W pracy tej wyrastał najwybitniejszy uczeń Pilata, Wilhelm Bruchnalski. Szkoła lwowskiego mistrza — z natury samego materiału — opierała się na zrębach filologicznych.

Tak upłynął pierwszy okres w historii Towarzystwa, obejmujący piętnastolecie 1886—1901. Wypełnia go swoją postacią i głową — niemal bez reszty, chociaż w rojowisku ludzkim — Roman Pilat. Jest to też okres „Pilatowski", związany z serią „Pamiętnika" i edycją „Dzieł", okres badań nad Mickiewiczem, prowadzonych pod rygorami statutu. Trzon Towarzystwa krzepnie we Lwowie, gdzie stoi mocna katedra profesorska. Ale do Lwowa zbiegają się promieniście kierunki z różnych pracowni, w których siedzą pilni uczeni, pochyleni nad Mickiewiczem: Włodzimierz Spasowicz w Petersburgu, Piotr Chmielowski w Warszawie, Władysław Nehring we Wrocławiu. Na układzie tych trzech

(Dokończenie na str. 6)

Ankieta „Odry"

Pisarze polscy na Ziemiach Odzyskanych

Jerzy Kowalski

1. Osiedliłem się we Wrocławiu, ponieważ mój przyjaciel, Stanisław Kulczyński wezwał mię do pomocy przy organizowaniu Uniwersytetu.My, ludzie lwowscy, jesteśmy wierni.

2. Nigdy nie myślałem o Odrze. W powieści Gruce przedstawiliśmy (żona i ja) rozmowę z księdzem z Gdańska, którą prowadziliśmy w pociągu między Gdańskiem a Toruniem, wracając z wycieczki na Rugię. Żona moja napisała artykuł o Rugii w „Sygnałach" lwowskich. Artykuł ten wyrażał nasze wrażenia z pobytu w Szczecinie: przeciw komu zwrócona była ta twierdza wypadowa? Nie mieliśmy żadnych złudzeń co do zamiarów niemieckich, dlatego na dwa miesiące przed wojną wróciliśmy z Paryża do Polski, chcąc dzielić losy tego kraju.

3. Za najważniejsze zagadnienie Ziem Odzyskanych uważam zagadnienie pracy. Zdaniem moim, na Śląsku Dolnym nikt nie decyduje się na pracę rąk, nie widać jej we Wrocławiu. Ludzie zza Bugu, moi rodacy, nie chcą pracować ręcznie.

4. Zapewne my powiążemy Śląsk Dolny z Polską. Nasze dzieci (jest tego uderzająco dużo) będą nowymi Ślązakami. Trzeba jednak pomóc Śląskowi Górnemu do stworzenia własnej inteligencji. Śląsk jest zdolny do tego. Te dwa żywioły potrafią zaktywizować Śląsk w najwyższych jego możnościach.

Stanisław Ostrowski

Gdy przez szereg lat walczyło się z najeźdźcą nie tylko o prawo do posiadania własnego państwa, ale też o prawo do człowieczeństwa — gdy dzień po dniu przeżywało się grozę zbrodni najstraszniejszej — —

gdy wraca się do popiołów domu i szczęścia własnego z ziemi przeklętej — — —

gdzie założyć ma gniazdo człowiek bezdomny! ... Jest szmat ziemi ojczystej — nowej, a prastarej — o którą długo jeszcze walczyć będziemy walką najtrudniejszą — bo bezorężną.

Ziemia ta to Nadodrze.

Dlatego właśnie osiedliłem się w Szczecinie. Jestem tu krótko: zaledwie kilka miesięcy. Na razie uczę się ziemi i tego miasta, które już jest mi bliskie, a jutro stanie się miastem — ojczyzną — — jak Warszawa.

— — — — — — — —

Poza działalnością kulturalną w znaczeniu ogólnym (stałe audycje literackie w rozgłośni szczecińskiej) — zagadnieniami Ziem Odzyskanych zajmuję się głównie w ramach publicystyki.

Literackie osiągnięcia i plany?

Rozpoczęty już cykl wierszy: „Spacery po Szczecinie", oraz na warsztacie: literackie opracowanie legend słowiańskich Pomorza Zachodniego.

Jakie czynniki (moim zdaniem) mogą na trwałe powiązać Ziemie Odzyskane z Macierzą? Przede wszystkich czynniki kulturalne (nawet przed gospodarczymi). Dlatego też projekt rzucony przez „Odrę" (utworzenie Wojewódzkich Rad Kultury) uważam za kapitalny! Umiejętna organizacja kultury na Ziemiach Zachodnich (przy wydatnej pomocy materialnej czynników oficjalnych) najtrwalej powiąże te obszary z resztą Polski.

Pisarzom, dziennikarzom i wszystkim innym pracownikom kultury trzeba udostępnić pracę kulturalną, która dotąd (niestety) zmuszeni traktować są marginesowo, gros czasu absorbując przypadkowymi zajęciami zarobkowymi.

My, w Szczecinie, nie wątpimy, że wojewoda nasz (płk. Borkowicz), znany z przychylnego nastawienia do wszelkich poczynań kulturalnych, pójdzie w ślady wojewody górnośląskiego.

---

bez majątku, dążącej przez trzy akty do tytułu hrabiowskiego, a w końcu robiącej nieusprawiedliwionego psychologicznie koziołka, którym wpada w ramiona zakochanego, ale biednego — bez tytułu — malarza. Bardzo to było demokratycznie, ale nie bardzo artystycznie.

Później „Papuga" — trzy miesiące przygotowywana, określona, uzupełniana, przepisywana — reżyserowana przez Osterwę. Było wokół niej sporo hałasu, bo autor (K. Korcelli) jest znanym dziennikarzem łódzkim, a komedia z „niedalekiej przeszłości", polityczna i satyryczna. Grano ją bez większego powodzenia coś 20 razy.

Na zakończenie sezonu „Grube Ryby", które przeciągnięto na nowy sezon. Cztery premiery w ciągu ośmiu miesięcy (próby „Lilly Wenedy" zaczęto 20. XI. 45 r.)

Czy nie za mało?

Czy słuszną jest zasada wyciągania ze sztuki wszystkich możliwości kasowych? Chyba państwowy teatr nie musi tak bardzo dbać o dochody? Powinien dbać raczej o widza. Publiczność warszawska lubi zmiany, a poza tym trzeba pamiętać, że jest to jedyny teatr w Warszawie z prawdziwego zdarzenia. Miejskie Teatry Dramatyczne pracujące niezwykle ambitnie w bardzo ciężkich warunkach lokalowych, wykazują większą żywotność niż luksusowa oaza teatralna przy ul. Karasia.

Wiemy, że warunki pracy teatru są dziś trudniejsze niż przed wojną. Brak materiałów, sprzętu teatralnego, a przede wszystkim ludzi.

I tu dochodzimy do sprawy bodaj najważniejszej. Wojna poważnie przetrzebiła aktorów. Ubyło wiele talentów, a na młode trzeba jeszcze poczekać. Stąd pewne trudności przy obsadzaniu ról, a co za tym idzie trudności repertuarowe, z którymi walczył w ubiegłym sezonie Teatr Polski, a chyba nie lepiej jest na progu nowego, jeżeli dotąd nic się na ten temat nie mówi.

Wydaje mi się, że przed każdym kierownikiem teatru są dwie drogi. Albo ustala repertuar i do niego angażuje aktorów, albo mając zespół dopasowuje plan przedstawień.

Jeżeli zestawimy spis zespołu aktorskiego Państwowego Teatru Polskiego z nazwiskami widniejącymi na afiszach premierowych, widzimy, że n. p. Aleksandra Leszczyńska i Stefan Martyka nie wystąpili ani razu, a większość aktorów było wykorzystanych niedostatecznie.

Lubieńska zagrała kilka razy Lillę Wenedę, ale tylko przez przypadek (choroba Barszczewskiej), a tak grałaby tylko w „Papudze", podobnie jak Andryczówna i Sokołowska. Czy warto było tak świetną aktorkę jak Lubieńska i tak dobrze zapowiadającą się przed wojną Andryczównę pokazywać w obciętych na kilka dni przed premierą rolach, w komedii, której autor powiedział, że aktorzy położyli mu sztukę (patrz „Dwugłos o „Papudze" w jednym z numerów „Przekroju"). Co innego dałoby się na ten temat powiedzieć ale to już inna sprawa.

Poco angażuje się taką ilość aktorów, płaci się gaże i nie daje im się możliwości grania? Teatr w takim wypadku jest lamusem bezużytecznie magazynowanych talentów, na brak których tak bardzo się narzeka. Jest to marnotrawienie dobra społecznego, bo dobry aktor jest własnością narodu, a nie tego lub owego dyrektora.

W sprawy angażowania powinno wnikać Ministerstwo Kultury i Sztuki, jako czynnik regulujący sprawy personalne i równomiernie rozkładać element aktorski po całej Polsce. Nie powinno dopuszczać do zagęszczenia talentów w jednym teatrze, bo powstaje przez to niezdrowa atmosfera konkurencji przy obsadzaniu ról, nie mająca nic wspólnego ze szlachetną rywalizacją artystyczną, inne zaś teatry, że wymienimy tylko Państwowy Teatr Śląski, łatają zespół gościnnymi występami.

Nie uznaję systemu gwiazd, dokoła których skacze cały teatr, nie wyłączając dyrektora, do których przystosowuje się repertuar, ale też nie chciałbym widzieć konstelacji, którą nie wiadomo dla kogo świeci w spisach zespołów, a nie widzi się jej na scenie.

Co nam z tego, że dyrektor Szyfman zapowiada na sezon 1946/47 udział Janiny Romanówny, Jana Kreczmara, Zofii Małynicz itd. Przecież miał i ma w zespole Lubieńską, Barszczewską, Broniszównę, Andryczównę i wiele innych doskonałych aktorek i aktorów. Znów zobaczymy parę premier (bo przy systemie „wygrywania" sztuk na więcej nie będzie czasu) z nowo zaangażowanymi, a cała reszta będzie grać „ogony", marnując tak cenny dzisiaj talent i czas, a teatr pieniądze na gaże dla „niepotrzebnych gwiazd". Z wielką troską spoglądamy na piękny budynek Teatru Polskiego, który teraz, jak nigdy dotąd, ma tak ważne zadanie do spełnienia. Oby niezawodny instynkt doświadczonego człowieka teatru, pozwolił dyrektorowi Szyfmanowi przezwyciężyć piętrzące się przed jego umiłowaną placówką trudności i dał nam nareszcie teatr godny jego wielkiej tradycji.

Barwniki »Orion«

do wszelkich materiałów o wysokiej jakości. — Otrzymasz w drogeriach i składach farb

SKŁADNICA FABRYCZNA

Katowice, ul. Starowiejska nr 3. Telefon nr 354-64.

Kronika słowiańska

Reakcja w Leningradzie

21-go sierpnia br. ukazało się w gazetach sowieckich postanowienie Kom. Centr. W. K. P. (b) z dnia 14 sierpnia w sprawie czasopism leningradzkich **„Zwiedza" i „Leningrad".** W postanowieniu konstatuje się, że **pisma te redagowane są w sposób całkowicie niepokojący.** Że w pismach tych poświęcano wiele miejsca M. Zoszczence a prace jego, które tam drukował, były puste, beztreściwe i banalne, karykaturujące w dodatku lud sowiecki jako społeczność niekulturalną, prymitywną i głupią z filisterskimi smakami. Zoszczenko deformował i krzywił złośliwie sowiecką rzeczywistość. Postanowienie stwierdza dalej, że redakcja umożliwiła aktywny udział przy redagowaniu pisma Annie Achmatowej, której socjalno-polityczne oblicze od dawna znane jest czytelnikom sowieckim, zaś wiersze jej, przesycone duchem pesymizmu i dekadencji, wykazują zamiłowania starej poezji salonowej, opierającej się na estetyce i dekadencji poezji mieszczańsko-artystycznej — tym samym wiersze jej nie chcą równać swego kroku z krokiem ludu, lekceważą sprawę wychowania młodzieży i nie mogą być ścierpiane w literaturze sowieckiej. Drukowanie prac obojga tych pisarzy sprawiło, że wśród literatów leningradzkich pojawiły się elementy rozkładu i dezorganizacji; w czasopismach obu zaś poczęły się pojawiać prace napełnione Weltschmerzem, pesymizmem i rozczarowaniem. W ten sposób ideowe oblicze pism mocno się zaciemniło.

Istotą błędów obu czasopism — cytujemy ciągle wspomniane postanowienie — jest to, że redaktorzy ich zapomnieli o nauce leninizmu, że prasa sowiecka, czy to naukowa czy też artystyczna, nie może być apolityczna. Zainteresowanie literatury sowieckiej jest zainteresowaniem narodu i państwa. Głoszenie apolitycznej zasady sztuki dla sztuki obce jest literaturze sowieckiej i szkodzi interesom narodu. W czasopismach leningradzkich ponadto rozwielmożniły się zasady krytyki koleżeńskiej i osobistych względów.

Centralny Komitet Partii stwierdza, że winę ponosi tutaj kierownictwo Związku Pisarzy Sowieckich, a zwłaszcza jego prezes towarzysz Tichonow, ponieważ nie walczył on ze szkodliwym wpływem Zoszczenki, Achmatowej i innych niesowieckich pisarzy, ponieważ nie zwrócił uwagi na powolne przenikanie do redakcyj obu czasopism tendencyj i poglądów obcych literaturze sowieckiej.

Centralny Komitet WKP(b) poleca redakcji „Zwiezdy", kierownictwu Związku Pisarzy Sowieckich i oddziałowi propagandowemu Centralnego Komtetu Partii, aby uczyniły wszystko w kierunku bezwzględnej likwidacji stwierdzonych uchybień i niedostatków obu czasopism, **doprowadziły je do ideowej i artystycznej równowagi,** nie dopuszczając już więcej do drukowania Zoszczenki, Achmatowej i im podobnych. Dalej poleca się zlikwidowanie czasopisma „Leningrad" oraz, by współpracownicy jego skupili się wokół „Zwiezdy", zwłaszcza że nie ma powodu wydawania aż dwóch czasopism. Należy także zwrócić uwagę na polepszenie treści „Zwiezdy" a przy komitecie redakcyjnym ustanowiona być winna funkcja naczelnego redaktora, odpowiedzialnego w pełni za ideowo-polityczne zamierzenia pisma i jakość drukowanych w nim prac. Jako redaktora naczelnego poleca się A. M. Jegolina.

Takie są główne zarysy postanowienia Centralnego Komitetu WKP(b).

Wokoło postanowienia tego rozwinęła się gorąca dyskusja w Czechosłowacji. Nie brakło tu także obrony Zoszczenki i Achmatowej. Z obroną taką wystąpiły gazety „Pravo lidu", „Svobodne slovo" oraz „Narodni osvobodzeni". Przeciwko tym próbom obrony leningradzkich pisarzy-reakcjonistów wystąpił ostro naczelny redaktor „Tvorby" Jirzi Taufer. W artykule swoim pt. „W sprawie leningradzkich czasopism literackich" przynosi sporo dowodów na to, że orzeczenie partii komunistycznej było słuszne Taufer stwierdza, że powiastki Zoszczenki z lat 1923-24 były jeszcze krytyką pozytywną t. zw. „obywatelstwa", ludu starej odchodzącej Rosji z jego mikroskopijnymi ideami — przestały nią być jednak, kiedy Rosja Nepu weszła na szeroki trakt socjalistycznych sukcesów. Nie zmieniły się figurki i socjalno-polityczne schematy opowieści Zoszczenki, tym czasem zaś zmienił się współczesny sowiecki człowiek. Zoszczenko utknął na typach ludzi, którzy albo wymarli już albo przestali być typowi w dobie pierwszej, drugiej i trzeciej pięciolatki. Satyra tutaj przestała być krytyką, a stała się paszkwilem, pamfletem i karykaturą obrazującą sowieckiego obywatela. Zoszczenko był już ostro krytykowany w okresie minionej wojny, a zanim pojawiło się postanowienie partii, w piśmie „Kultura i żiźń" Wsiewołod Wiszniewski opowiadanie Zoszczenki pt. „Przygoda małpy" określił jako wybitnie szkodliwe.

Również i Anna Achmatowa spotyka się ostatnio z coraz gorętszą krytyką. Poetka salonu, żona białogwardyjskiego poety Gumilewa, rozstrzelanego w roku 1921 za knowania kontrrewolucyjne, akmeistka i kapłanka arystokratycznych tradycyj. W tym samym numerze „Kultury i żiźni" (z dnia 10 sierpnia br.) krytykę poezji Achmatowej daje N. Maslin. Pisze on m. in.: „Achmatowa, przezwyciężając podczas wojny kameralność swej liryki, w niejednym wzbogaciła temat wielkiej wojny ludu sowieckiego z nieprzyjacielem. Zamiast jednak napełnić z pomocą krytyki poezję swoją żywą treścią współczesności i rozszerzyć ramy swej twórczości, drukuje w „Zwieździe" (nr 1, 1946) cykl wierszy z różnych lat, gdzie znajduje się taki m. in. wiersz z datą 1945:

Jak w refektarzu, ławki, stół i okno
z ogromną srebrną łuną.
Pijemy kawę i czarne wino
a wskroś muzyki gawędzimy,
wszystko jest obojętne...

„Właśnie: wszystko jest obojętne. To jest — prawi w konkluzji Maslin — typowe giętkie „naplewat" i tym zapełniała Achmatowa stronice sowieckiego czasopisma literackiego, tym bałamuciła głowy młodych pisarzy sowieckich i całej sowieckiej młodzieży."

Taufer powołując się na zdanie Maslina przypomina, że błędem byłoby czynić mechaniczne porównania między literaturą sowiecką i jej zjawiskami politycznymi a jakąkolwiek literaturą obcą. W zakończeniu przypomina prawdziwe wydarzenie, jakie miał Majakowski w czasie swojej podróży z odczytami po Ameryce. W pewnym mieście mówił Majakowski o pracy poetów sowieckich, cytując swoją agitkę, napisaną dla członków „Mossukno", moskiewskiej spółdzielni tekstylnej:

Tkacze i prządki
oto jest czas już
by przestać wierzyć
zagranicznym baranom.

Podczas następnego odczytu otrzymuje Majakowski od jednego z obecnych karteczkę z pytaniem:

— Czy to prawda, że na rozkaz rządu pisze Pan o baranach?

— Owszem — odpowiada Majakowski — lepiej jest bowiem pisać o baranach na rozkaz mądrej władzy, niż na rozkaz baranów pisać o głupiej władzy.

Dyskusja na temat Zoszczenki i Achmatowej w Rosji zakończyła się mocnym postanowieniem partii, w Czechosłowacji zaś toczy się dalej.

Jacek Brzym

Annales Towarzystwa Mickiewiczowskiego

(Dokończenie)

osi stosunek największej być może wagi naukowej łączy Wrocław ze Lwowem, stoły obu filologów - pozytywistów: Pilata i Nehringa.

Przełom wieków XIX i XX przygotowuje drugi okres w dziejach Towarzystwa. Jest to poza tym okres nowy w rozwoju samej nauki. Studium historii literatury polskiej wykracza poza seminarium Pilata, w którym od lat piętnastu czyta się tylko i wykłada pismo Mickiewicza. Coraz liczniejszej rzeszy pracowników nie wystarcza jedna tylko winnica. Normalnym prawem biologii grupy, ramy Towarzystwa okazują się teraz za ciasne, instrukcje redakcyjne zbyt rygorystyczne. Badacze innych epok i analitycy innych zagadnień żądają dla siebie miejsca w organie i w statucie. Rzecz charakterystyczna i zrozumiała: Pilat, twórca doskonałego schematu, broni się przed energią nowych ludzi, potrzeb, pomysłów. Ideologię rozbudowy propagują z całą gorliwością Ludwik Finkel i Tadeusz Pini. Roman Pilat, przeżywszy w skrytości dramat skończonej służby, odchodzi pokonany. Nieraz wątki tragiczne splatają się w pracowniach starych uczonych.

Odtąd Towarzystwo Literackie im. Mickiewicza, nie odmieniwszy nazwy, skupia cech historyków literatury, bez względu na epokę i typ pracy. Zewnętrznym wyrazem dokonanej zmiany staje się od r. 1902 przemianowany z rocznika na kwartalnik „Pamiętnik Literacki", który temat studiów poprzednich rozszerza na literaturę polską w jej rozległości. Gdy zbliżymy się dziś do półki bibliotecznej, którą zalega „Pamiętnik Literacki", naliczymy do roku 1939 — 35 tomów nowej serii, które wypełnił magazyn wiedzy literackiej, złożony przez dwie generacje pracowników nauki. Sam rytm wydawnictwa powie nam wiele o historii Towarzystwa. Oto tomy opasłe, jednakowych rozmiarów, spokojnych lat przedwojennych. Oto tomy chude, na szarym papierze, wydarte przemocą okresowi wojny czy inflacji. Znikła z nich, prowadzona poprzednio z chwalebnym staraniem, bibliografia zawartości czasopism, która na kartach „Pamiętnika" zdołała objąć jedynie lata 1901—1907. — Roczniki międzywojenne, różnej wagi i wymiarów, służą tej samej sprawie: ciągłości kultury naukowej. Wielka zasługa Ludwika Bernackiego dociągnęła tomy błękitne na sam próg przełomu 1939. Po tym zapadła noc nad Polską.

Dzieje Towarzystwa w drugim okresie układają się w rytmie czasów i wydarzeń ogólnych. Czerwoną pręgą przecina je wojna r. 1914. Całym wieńcem oddziałów w poszczególnych ośrodkach uniwersyteckich rozkwita Towarzystwo w okresie niepodległości. Własnym obliczem w tej bogatej serii wyróżnia się oddział katowicki, jako ośrodek pracy naukowo - pedagogicznej, prowadzony przez Wincentego Ogrodzińskiego. Oto lata, wiązane jak snopy przez zjazdy literackie: Mikołaja Reja 1905, Juliusza Słowackiego 1910, Jana Kochanowskiego 1930, Ignacego Krasickiego 1935. Są to lata spojrzeń na twórczość poszczególnych pisarzy i problematykę ich czasów.

W tym kalendarzu kultury narodowej przewinie się wydarzenie specyficzne, na które patrzymy otwartymi oczami. Oto w r. 1805 Towarzystwo przeżyło wielki kryzys organizacyjny: secesję członków, która trwała trzy lata. Dlaczegoż to? Problematyka Manfreda Kridla jeszcze nie dojrzewa. Oto Akademia Umiejętności nagrodziła dzieło Józefa Tretiaka „Juliusz Słowacki", naznaczone obrazoburczym stosunkiem do poety, którego uwielbiła Młoda Polska. Towarzystwo protestowało rozdarciem organizacyjnym przeciw nagrodzie — „paszkwilu". Tak powstała jeszcze jedna pieśń „Monachomachii". Pomyślmy dzisiaj: czasy były spokojne, ludzie wadzili się o książki.

Towarzystwo Literackie przetrwało drugą wojnę, z której wychodzi zdziesiątkowane, lecz żywe. Niektóre z oddziałów pracowały pod okupacją niemiecką. Będziemy długo pamiętać „pierwszą niedzielę każdego miesiąca", kiedy schodziło się na zebranie mickiewiczowskie uliczką Celną ze Starego Rynku w Warszawie, uliczką Brzozową, pod Nr. 12, do mieszkania Juliana Krzyżanowskiego. Tak wyraziło się wówczas rzadkie prawo polskiego życia: prawo kontynuacji.

Aż w różańcu lat, zaprawdę niejednakowych, naliczyło się ich 60. Jest znowu Polska. Po miastach uniwersyteckich powstają nowe oddziały. Podjęty „Pamiętnik Literacki" rzuca na witryny księgarskie rocznik XXXVI. W dniu 29. września br. zostanie otwarty w Warszawie zjazd naukowo - literacki im. Bolesława Prusa, na uczczenie jubileuszu 60-lecia. Jest dziwna radość, gdy pomyśleć, że przetrwaliśmy.

»Arkusz Śląski«

Zw. Zawod. Lit. Polskich
Oddział Śląski
Wydawnictwo seryjne
*
Dotychczas ukazały się
WIERSZE
Jana Baranowicza
Aleksandra Widery
Aleksandra Baumgardtena
(w druku)
Do nabycia w cenie zł 25
za egzemplarz w sekretariacie „Odry"

Korespondencja

»Ulenspiegel«

Od p. Mariana Podkowińskiego otrzymaliśmy następujące sprostowanie w związku z naszym felietonem pt. „Krótkie spięcia" w nrze 27 ODRY:

1. Napisałem w „Szpilkach" o poecie lewicowym Guntherze Weisenbornie, redaktorze Ulenspiegla. Tymczasem p. „wisz" uznał, że człowiek ten nazywa się Weisendorn, był hitlerowcem, u którego w mieszkaniu bywali często wysocy dygnitarze NSDAP. Załączając tytułową okładkę Ulenspiegla, stwierdzam jeszcze raz, że poeta ten nazywa się właśnie Weisenborn i nie ma nic wspólnego z wyżej cytowanym hitlerowcem. Redaktor Ulenspiegla jest Żydem niemieckim, który przebywał w obozie koncentracyjnym i którego sztuka o życiu obozowym cieszy się w Berlinie wielkim powodzeniem. Nie mogli więc u Gunthera Weisenborna przebywać wysocy dostojnicy hitlerowscy.

2. Hermann Hesse zawsze daleki był od nacjonalizmu niemieckiego i od wielu lat przebywa na emigracji. Kilka dni temu otrzymał nagrodę literacką za swą twórczość. Mimo uwag p. „wisz. a", który cytuje prof Kocha, ale z którego uwag nic nie wynika, w dalszym ciągu uważam Hessego, jak zresztą cała Europa, za pisarza demokratycznego.

3. Co do Augusta Scholtisa mogę powiedzieć tylko tyle, że widocznie zachodzi tu podobieństwo nazwisk. Bo ten, który pracuje w Ulenspieglu, współpracuje również w organie Armii Czerwonej, w ukazującym się w Berlinie „Die Taegliche Rundschau". W tej sprawie kieruję p. „wisz'a" do redaktora naczelnego tego pisma, p. Kirsanowa.

Marian Podkowiński (Łódź)

Sprostowanie p. Podkowińskiego przyjąć da się tylko w punkcie pierwszym. Hermann Hesse, aczkolwiek przebywał na emigracji w Szwajcarii i otrzymał niedawno nagrodę literacką im. Goethego. — dwukrotnie podpisywał antypolskie oświadczenia pisarzy niemieckich; znane też jest jego oświadczenie z roku 1921 przeciwko naszym prawom do Śląska. Nie każdej legendzie należy od razu wierzyć. Wszak i wokół Hauptmanna zaczęto tworzyć legendę demokratycznego pisarza a w tej chwili taki sam mit poczyna otaczać Kolbenheyera, autora „Paracelsusa", hitlerowca niewątpliwego. O Hessem będę miał okazję napisać szerzej w przygotowywanej do druku pracy o najnowszej literaturze niemieckiej, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Zachodniego.

Jeżeli zaś chodzi o głównego winowajcę, **Augusta Scholtisa — bo on był głównym celem moich uwag w „Krótkich spięciach"** — to niestety nie zachodzi żadne podobieństwo nazwisk. To **ten sam** Scholtis, hakatysta, który książkami swymi przygotował fundamenta pod krematoria dla Polaków, ucząc Niemców nienawiści do nas. Wypłoszony niedawno z amerykańskiej strefy Berlina, gdzie usiłował błyszczeć, osiadł w strefie sowieckiej i niestety trafił także do „Taegliche Rundschau".

Jeszcze w sprawie art. „Chopin na Śląsku"

Szanowny Panie Redaktorze!

Jakkolwiek nic mnie nie łączy z ob. Kazimierzem Olszewskim, gdyż jest mi zupełnie nieznany, zmuszony jestem do zabrania głosu w sprawie poruszonej w liście prof. dra Józefa W. Reissa, ogłoszonym na str. 7 nru 30, z 8 bm. „ODRY". Zmusza mnie do tego zasadniczo niedopuszczalny ton tego pisma, którego użył bardzo przeze mnie ceniony z tytułu swych prac prof. Reiss, oraz poza tym pewne nieścisłości rzeczowe oraz rozumowania.

Otóż jest bardzo prawdopodobne, że ob. Olszewski korzystał m. in. z pracy Ferdynanda Hoesicka pt.: „Chopin — życie i twórczość" Warszawa 1911, jakkolwiek ani pod względem stylu ani pod względem układu treści nie zrobił ściśle tego, o co go prof. Reiss oskarża. Należy wziąć pod uwagę, że zwłaszcza prace o charakterze biograficznym, mniejsze lub większe, muszą się opierać na pracach poprzednich, które wszakże **po to są pisane,** by zapoznawać jak najszersze sfery z prawdą historyczno-biograficzną. Felietonista nie powinien fantazjować, jak to niestety dosyć często zdarza, lecz opierać się na faktach. Do źródeł własnych, do nowo odnalezionych faktów zwykły felietonista rzadko może sięgać; to są sprawy badaczy, speców, a i ci dzisiaj, jeśli chodzi o Chopina, mają wielkie trudności, by pewne mało lub wcale nie znane szczegóły życia jego oświetlić. Myli się wszelako czcigodny prof. Reiss, skoro twierdzi, iż dzieło Ferdynanda Hoesicka jest ostatnim wyrazem wiadomości o Chopinie, jedynym źródłem, do którego wszyscy muszą sięgać. Hoesick sam sięgnął, czego mu nikt zarzucać nie może, do prac swych poprzedników w literaturze chopinowskiej, dodał dużo materiału zebranego przez siebie samego, lecz nie mniej po jego pracach doszło w tej literaturze sporo prac wnoszących nowe, cenne materiały. Wystarczy choćby wspomnieć takiego entuzjastę i bojownika w sprawach chopinowskich, jak zamordowanego w r. 1944 przez Niemców Edouard'a Ganche'a, którego liczne prace wyjaśniły niejedno, m. in. poważne błędy, popełnione przez Hoesicka. Przy wielkiej wartości zebranych przez Hoesicka materiałów jest ujemną cechą jego prac brak naukowego ujęcia, niedokładność — nawet w podawaniu źródeł, z których korzystał. To też nie nadają się one w obecnej, niezrewidowanej postaci do tłumaczenia na obce języki, i myli się prof. Reiss, twierdząc, że praca wyżej wspomniana została tłumaczona na obce języki. Jako autor przygotowanej do druku „Bibliografii i ikonografii Chopinowskiej", zawierającej przeszło 9.000 pozycyj, mogę stwierdzić, że dotychczas nie ukazała się **żadna** książka Hoesicka w obcym języku. — Zupełny brak indeksów czyni pracę Hoesicka dla studiujących, dziennikarzy itp. wobec swej szerokiej formy trudno dostępną, a dla cudzoziemców zupełnie niedostępną. To też zdanie prof. Reissa, że nikt u nas ani za granicą nie może się obejść bez pracy F. Hoesicka, jest mimo szacunku, który wzbudza ta bogata praca, nieco przesadne.

Jeśli chodzi o artykuł ob. Olszewskiego, to oczywiście postępując lojalnie, był powinien powołać się na źródła, z których czerpał swoje wiadomości o Chopinie. Nie czyniąc tego, narażał się na krytykę, która jednakże nie powinna być obelżywą — lecz rzeczową.

B. E. Sydow (Milanówek)

Szczecin dziękuje

Szanowny Panie Redaktorze!

Prosimy uprzejmie o opublikowanie na łamach Waszego poczytnego pisma następującego oświadczenia:

W dniu 1 bm. ustępuje ze stanowiska dyr. Teatru Polskiego w Szczecinie ob. Skąpski, jednocześnie jego zespół ustąpił miejsca zespołowi teatru „Komedia Muzyczna" pod dyrekcją ob. Czosnowskiego.

Kolegium Propagandowe województwa szczecińskiego pragnie publicznie stwierdzić, że Teatr ob. Skąpskiego założony z inicjatywy i dzięki udzielonej wybitnej pomocy Wojewody szczecińskiego płk. Leonarda Borkowicza, przy współpracy Naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki, ob. Czepelskiego dobrze zasłużył się sztuce polskiej na tak ważnej placówce jaką jest Szczecin.

Przewodniczący Kolegium Propagandowego
Województwa Szczecińskiego
E. Grzybowski

Życie teatru

Braterskie wypominki

Zdajemy sobie w pełni sprawę z potrzeby utrzymywania jak najściślejszych stosunków kulturalnych między narodem polskim i czeskim. Zdaje się, że tego samego zdania są i Czesi, przynajmniej ich zdecydowana większość. Dlaczegóż więc stosunki te są tak nikłe? Czy z naszej to powstaje winy? Nie sądzę. Weźmy pod obserwację nasze poczynania choćby na odcinku teatralnym. Gdy polskie życie teatralne na Zaolziu, posiadające tak piękne tradycje przedwojenne, a zdewastowane podczas wojny, po wojnie zaś na skutek specyficznych trudności nie mogło się ożywić, usiłował teatr polski w Cieszynie Wschodnim (Polskim) — działał poprzez nasze władze centralne — dać kilka przedstawień na Zaolziu. Niestety nie dało się tego urzeczywistnić.

Z wielkim trudem polski teatr amatorski w Stonawie (Zaolzie), pragnąc dać wyraz swoim uczuciom narodowym i demokratycznym wystawił w jesieni ub. roku sztukę, osnutą na tle walk chłopów śląskich o zniesienie pańszczyzny pt. „Rok 1848 — Wiosna Ludów". Bohaterem sztuki był młody Ślązak, dr. Paweł Oszelda, który jako jeden z pierwszych bodajże w ówczesnej Europie podniósł bunt chłopów przeciw wyzyskowi wielmożów i baronów. Sztuka grana była przez młodzież wiejską i trafiła do serc ludu bez pośrednictwa kunsztownej stylizacji. I Cieszyn Polski zapragnął zobaczyć tę sztukę. Zwrócono się tedy do Stonawian z łaskawym zaproszeniem: przybywajcie. Inicjatorem akcji był „Dom Kultury" w Cieszynie. Niestety Artystycznej braci odmówiono przepustek granicznych. Pozostali w domu z żalem w sercu. Czyż nie słusznym? Nie pomogły prośby, perswazje — i ta decyzja czeskich czynników lokalnych była niewzruszona i żaden argument nie mógł tego obalić.

A potem przyszły zakazy urządzania polskich przedstawień, likwidacja wegetujących zespołów amatorskich, powodując w polskim życiu teatralnym na Zaolziu całkowitą martwotę. W tej atmosferze o wiązaniu się współpracą z czeskimi zespołami teatralnymi spoza Śląska (na Zaolziu nigdy czeskiego teatru nie było) trudno było mówić, choć trzeba przyznać, żeśmy tego pragnęli.

W tym samym czasie wysiłkiem władz powstaje czeski teatr na Zaolziu, który ma na celu „zwyciężać siłą ducha", krzepiąc wątpiących nie tylko w samym czeskim Cieszynie ale także i na prowincji, dostatecznie zresztą kulturalnie wyjałowionej przez niemieckie zakazy...

Od tego czasu minął blisko rok. Na Zaolziu pozostało bez zmian. Teatr czeski spełnia swoją misję kulturalną — **polski nie egzystuje.** Nie z braku chęci czy inicjatywy lecz z braku dobrej woli ze strony czynników lokalnych. A tymczasem nasza polska gościnność wzrusza Czechów do łez. Nie pomni na urazy zapraszamy „Divadlo Tesinskeho Slezska" do Polski, gdzie w Ustroniu zespół czeski przy zapełnionej widowni daje pokaz narodowej sztuki, którą przyjęto z entuzjazmem — jak pisze prasa czeska, snując plany na przyszłość. Oto co czytamy w gazecie czeskiej, w recenzji z tego przedstawienia: „Udana ta impreza przygotuje teren do dalszych występów, jak również przyczyni się do wyrównania gruntu pod szerszą współpracę na polu kulturalnym". Mamy tylko jedno małe zastrzeżenie. **Chcemy równowagi.** Jeśli wolno grać czeskim artystom w Polsce, dlaczego nie wolno grać artystom polskim w Czechosłowacji? A poza tym rzecz zasadnicza: jeśli Polacy z Zaolzia pragną wystawić sztukę, opiewającą walkę ludu śląskiego o zniesienie pańszczyzny, dlaczego im się zabrania grać tę sztukę po tej stronie Olzy? I rzecz wreszcie najważniejsza: **nie tłumić polskiego ruchu teatralnego na Zaolziu.** Toż to nie jest żaden akt politycznego i wrogiego Republice działania, jeśli młodzież wiejska miast pójść do knajpy, pójdzie na przedstawienie, którego repertuar zostanie uzgodniony z władzami lokalnymi. Z naszej strony jest dobra wola. Publiczność nasza pełna objektywizmu oklaskiwała artystów czeskich w Ustroniu, wykonawców czeskich pieśni tańców. Lecz jakżeż czuć się musi na Zaolziu nasza młodzież, której wmawia się, że śpiewanie po polsku na festynie jest, jak to było w Szonychlu ...prowokacją. Festyn urządzała młodzież polsko-czeska. A za to samo wykonawców polskiej pieśni odano w Łąkach nad Olzą... policji.

Abstrahujemy od spraw wielkiej polityki. W swoich rozważaniach dotknęliśmy odcinka, który — mimo obopólnych korzyści — pozostaje zarośnięty chwastami. Gdzie tkwi tego przyczyna?... Nie chcemy do i tak zaciemnionych stosunków polsko-czeskich dodawać barw pesymizmu, a jeśli wystąpiliśmy z wymówkami i pretensjami, to jedynie w nadziei, że nic tak nie zbliża, jak dobre porozumienie się. Teatr polski i czeski winny wymienić między sobą uścisk dłoni. Podkreślano to tyle razy w prasie czeskiej i polskiej. Piękne zamysły zastygały — nie mogliśmy darzyć Was serdecznością, kiedy ślady żalu i smutku czytaliśmy w sercach braci naszych za Olzą. Kogóż to raziły ich piosenki, śpiewane na festynach, kogóż to drażniły słowa polskie, wypowiadane ze sceny, komuż to spędzały sen z powiek usiłowania młodzieży polskiej stworzenia amatorskiego teatru? Wierzymy, że czeskie władze lokalne uznają słuszność naszych uwag. Wierzymy, że pozwolą na rozwój teatru polskiego na Zaolziu. Ponieważ stoimy już u progu porozumienia się obu słowiańskich narodów — wierzymy, że braterskie te wypominki będą ostatnie.

mOST.

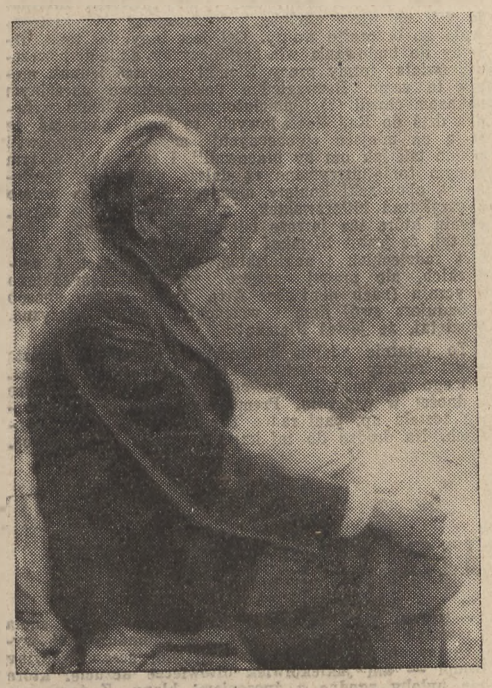

Ludwik Hieronim Morstin, znany pisarz polski, autor wielu dzieł dramatycznych i tłumacz utworów literatury antycznej, objął stanowisko kierownika literackiego przy Państwowym Teatrze Śląskim w Katowicach. Na otwarcie sezonu w początkach października wystawiona zostanie „Antygona" Sofoklesa, w przekładzie L. H. Morstina i Wyspiańskiego „Warszawianka".

Teatr Ziemi Opolskiej pod dyr. St. Staśki, z siedzibą w Opolu, otworzył nowy sezon wystawieniem „Hamleta" Szekspira, w reżyserii Jerzego Ronarda-Bujańskiego. Na zdjęciu Ronard-Bujański (Hamlet) i Celina Niedźwiedzka (Ofelia).

Fot. Kornicki, Opole.

Książka Ziem Odzyskanych

Józef Feldman: Problem polsko-niemiecki w dziejach. Katowice 1946. Instytut Śląski. Stron 174.

Straty, jakie poniosła nauka polska w ciągu ostatnich 7 lat, są tak dotkliwe, że trzeba będzie chyba dziesięciu wypełnić powstałe luki. **Jedną z ostatnich strat, strat szczególnie ciężkich, jest śmierć prof. J. Feldmana.** Przegląd jego olbrzymiego na tak młody wiek (47 lat) dorobku naukowego dał w „Tygodniku Warszawskim" prof. Konopczyński, którego śp. Feldman był uczniem. Zamknięcie tego dorobku stanowi książka pt. „Problem polsko-niemiecki w dziejach", która ukazała się już po śmierci autora jako wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Ta znakomita książka, łącząca wysoki poziom naukowy — mimo zastrzeżeń autora, że nie jest przeznaczona dla świata naukowego — z niezwykle przystępnym przedstawieniem trudnego i skomplikowanego zagadnienia stosunków polsko-niemieckich, podanym w pięknej szacie językowej, **jest najlepszym świadectwem talentu historycznego Feldmana.** Jedną zaś z istotnych cech wszystkich jego prac jest na wskroś oryginalne podchodzenie i ujmowanie zagadnień, stanowiących w danym wypadku wynik badań źródłowych. To samo odnosi się do jego ostatniej książki.

Po rozdziałach wstępnych, w których rozważa stosunki polsko-niemieckie w okresie pierwszej Rzeszy — cesarstwa rzymskiego, przechodzi do oceny stosunków polsko - pruskich, a więc do epoki, której zbadaniu poświęcił większość swych wysiłków naukowych. Wyróżnia w tej epoce trzy zasadnicze okresy a to: 1) **okres brandenburski, okres uległości Hohenzollernów wobec Rzeczypospolitej i zabiegów o zachowanie z nią przyjaznych stosunków; 2) okres wielkiego elektora (Fryderyka Wilh.), w którym ujawnia się niespodziewanie** słabość Rzeczypospolitej (wojny szwedzkie — potop), powodująca pierwsze wyraźne zmiany w polityce dworu brandenburskiego w stosunku do Polski; 3) **okres następców wielkiego elektora**, prowadzących już w stosunku do Polski politykę zdecydowanie wrogą. Ważnym jest tu stwierdzenie, że im więcej Rzeczypospolita chyli się ku upadkowi, tym bardziej polityka Prus wobec niej staje się agresywna.

W epoce porozbiorowej, jak to z niezwykłym znawstwem wykazuje Feldman, polityka Prus wobec Polski a później cesarstwa biegnie dwoma zasadniczymi szlakami. **Szlak pierwszy to dążenie za wszelką cenę do zlikwidowania sprawy polskiej jako zagadnienia międzynarodowego. Drugi szlak stanowi polityka wobec ludności polskiej, wcielonej do państwa Hohenzollernów.** W dziejach tej polityki wyróżnia autor znów dwie fazy. Pierwsza obejmuje okres od wcielenia ziem polskich do Prus aż do „Kulturkampfu", ściślej aż do zjednoczenia Niemiec. Faza druga to czasy od zjednoczenia Niemiec aż do dzisiejszej katastrofy. W pierwszej fazie polityka pruska wobec Polaków nie jest jeszcze jednolita. Przeżywa różne wahania, wiedzie linię zygzakowatą. Przeciwieństwem jest okres drugi, który rysuje się jako wzór polityki konsekwentnej, wyciągającej wnioski z doświadczeń historycznych, doskonalącej się z pokolenia na pokolenie, aby w okresie narodowego socjalizmu osiągnąć szczyt bezwzględności i zwyrodnienia. Koncepcja Steina i Harddenberga z I okresu, wysuwających hasła pozyskania Polaków na drodze polityki ustępstw, nie notuje autor „Problemu polsko-niemieckiego" w okresie II. Dlaczego? Właśnie nie gdzie indziej, a w książce Feldmana znajdujemy wnikliwe wytłumaczenie tego zjawiska. Oto jeden niezwykle charakterystyczny proces w rozwoju polityki niemieckiej w stosunku do Polski posunął się już bardzo daleko. Szerokie kręgi Niemców poza Prusami przyjęły już pruskie koncepcje polityki wobec sprawy poskiej i walki z polskością. Duch pruski tak poważnie zakaził już duszę całego narodu niemieckiego, że jeszcze w naszym pokoleniu, bo w okresie republiki weimarskiej a zwłaszcza narodowego socjalizmu mogliśmy obserwować jego niepodzielne zapanowanie. Niemcy zostali rzeczywiście zjednoczeni. Ani jeden głos sprzeciwu nie padł w Niemczech przeciw zbrodniom hitlerowskim.

Odnośnie drugiego partnera we wzajemnym stosunku zdecydowanych antagonistów, odnośnie Polski dwa w szczególności momenty zasługują na uwagę w dociekaniach Feldmana: **Z naciskiem stwierdza autor, że od Hołdu Pruskiego (1525) poczynając, politykę polską w stosunku do Hohenzollernów, a od początku tegoż 16. wieku także do Habsburgów, wypełnia nieprzerwana seria zasadniczych błędów z fatalnym przyzwoleniem Zygmunta III na ostateczne połączenie Prus Królewskich z Brandenburgią. Nie bez wpływu na tę fatalną politykę,** sprzyjającą rozrostowi państwa brandenbursko-pruskiego, **było ostateczne zorientowanie się Polski na wschód.**

Drugim momentem, zasługującym tu na uwagę, momentem kapitalnego znaczenia to przełom, jaki dokonał się w polskiej myśli politycznej na przełomie 19. i 20. wieku. Przełom ten określa trafnie Feldman jako **jeden z najgłębszych przewrotów, jakie dokonały się w myśleniu politycznym w Polsce na przestrzeni dziejów.** Polegał on na uświadomieniu narodowi niebezpieczeństwa niemieckiego, największego już niebezpieczeństwa, jakie ze strony nowych Niemiec groziło narodowi polskiemu — uświadomieniu i uzasadnieniu tego niebezpieczeństwa na szerokiej płaszczyźnie zmian międzynarodowych. Poprzedzały zaś ten przełom dwa wieki wojen z Rosją i powstań przeciw niej. Stąd tym większa jego doniosłość. Te głębokie przemiany polityczne w Polsce łączyły się ściśle z nazwiskami Popławskiego a zwłaszcza Dmowskiego, który swe zasadnicze poglądy na nowe położenie sprawy polskiej wyłożył w historycznej książce „Prusy, Rosja a sprawa polska". Na przestrzeni upływających 50 lat od początku tych przemian jest to ich pierwsza wnikliwa i sprawiedliwa ocena ze strony nieza interesowanego ideowo pisarza. Zbytecznym było by tu podnosić, jaki wpływ wywarł ten kierunek polityczny na nasze późniejsze (po pierwszej wojnie światowej) rewindykacje zachodnie.

Zamykając swą pracę daje ś. p. prof. Feldman próbę **oceny stosunków polsko-niemieckich w okresie poprzedzającym drugą wojnę światową, w okresie tzw. „paktu nieagresji".** Jest to okres trudny dziś do naukowej oceny przede wszystkim z braku podstawowych materiałów źródłowych. Ś. p. prof. Feldman próbuje dać ocenę tego okresu. Nie na wszystkie wnioski i uwagi autora można by się zgodzić. Jedno wszakże trzeba podkreślić. **Widać u autora wysiłek w kierunku obiektywnej oceny ówczesnej polityki polskiej,** o ile jest możliwy obiektywizm w stosunku do tak bliskich czasów, do których stosunek nasz z natury rzeczy kształtuje się na podstawie momentów emocjonalnych a nie przesłanek rozumowych.

Jako całość posiada książka Feldmana takie walory, że należy życzyć, aby dotarła do najszerszych kół naszej opinii. Jeden wszakże zasadniczy defekt posiada książka, o której tu mowa, defekt niezależny od autora, a ubliżający wprost jego pamięci. Jest haniebnie wydana. Doprawdy wstyd i skandal, aby tak cenne rzeczy wydawać w tak obskórnej szacie zewnętrznej, na tak wstrętnym papierze. Czyżby na Śląsku było aż tak źle z papierem? Nie wierzymy w to.

Alojzy Targ.

„Odra" winna się znaleźć na stole każdego uczonego polskiego oraz w każdej świetlicy. „Odra" jest wykładnikiem życia i przeszłości Ziem Odzyskanych.

Nasi artyści

HELENA ROZWADOWSKA, artystka Państw. Teatru Śląskiego w Katowicach. Pracę aktorską rozpoczyna w Krakowie w Teatrze Ludowym za dyr. E. Rygiera. W teatrze katowickim pracować zaczęła już w roku 1926, tutaj też stworzyła swe najlepsze kreacje a wiec Cioci w „Gałązce rozmarynu", Panny Anieli w „Damach i huzarach". Szambelanowej w „Panu Jowialskim", Bellinę w „Chorym z urojenia", prof. Wimmer w „Maturze", Marynię w „Teorii Einsteina" i Dulską w „Moralności pani Dulskiej".

STEFAN RYDEL, artysta Teatru Śląskiego. Debiutował w „Kawalerze księżycowym" Niżyńskiego, grał m. in. Albina w „Ślubach panieńskich", Ottona w „Burmistrzu Stylmondu", Orsina w „Wieczorze Trzech Króli" oraz w wielu komediach.

JANINA JABŁONOWSKA, artystka Teatru Śląskiego. Po ukończeniu Szkoły Dramatycznej w Warszawie, występowała w Teatrze Polskim w Poznaniu, później w Bydgoszczy, w krakowskim Teatrze im. Słowackiego, w Katowicach, u dyr. Adwentowicza i Horzycy, w krakowskim Teatrze Powszechnym i od nowego sezonu znowu występuje w Katowicach. Do najlepszych jej ról należą: Muza w „Wyzwoleniu", Fenixana w „Księciu Niezłomnym", Żona w „Nieboskiej Komedii", Georg Sand w „Lecie w Nohant", Młoda w „Klątwie", Maryna w „Zaczarowanym kole", Goplana w „Balladynie", Hanka w „Moralności Pani Dulskiej"

Glossy i notatki

LIST SZABROWNIKA

Otrzymaliśmy następujący list:

„Przeczytałem w „Dzienniku Polskim“ notatkę o rozbiciu sarkofagu i trumny metalowej Henryka Sienkiewicza w podziemiach katedry warszawskiej. Notatkę redakcja opatrzyła tytułem „Szabrownicy rozbili sarkofag Henryka Sienkiewicza“. Chcę gorąco zaprotestować przeciwko nazywaniu mnie cmentarnych szabrownikami. Ja jestem szabrownikiem, bo zarabiając 2000 złotych na państwowej posadzie, zmuszony jestem kupować poniemiecką porcelanę i szmatki i wywozić je do Krakowa, by utrzymać przebywającą tam moją rodzinę, składającą się z żony i trojga dzieci. Jeżeli już narażam się na rewizję mojego skromnego bagażu przez odpowiednie organa milicji, która nie szczędzi pod moim adresem zjadliwych uwag w rodzaju „szabrownik“, „złodziej“ — to niech przynajmniej wiem, że na imię to zasługują urzędnicy państwowi, dorabiający sześć tysięcy złotych miesięcznie do pensji, o której nie warto wspominać. Ludzie zaś, poszukujący „skarbów“ w trumnach naszych wielkich Polaków (w ubiegłym roku ta sama historia wydarzyła się z grobem Stefana Żeromskiego), wyrywający złote plomby z czaszek pogrzebanych krewnych, przyjaciół i znajomych (dzieje się to w całym kraju, w Warszawie, Bydgoszczy, Białymstoku, Sosnowcu, Głuchołazach, Bożej Górze i w Gorzowie) nie zasługują **ani na miano szabrownika ani tym więcej na miano człowieka.** Trzeba umieć rzeczy nazywać po imieniu i pogodzić się z faktem, że w społeczeństwie naszym znajdują się jednostki, które winny być wymazane z życia. Nie należy jednak mieszać pojęć. Bo jeżeli **ja jestem** szabrownikiem, to nie są nimi na pewno cmentarne hieny. Zbyt wiele przestępstw określa się dziś chętnie mianem szabrownictwa, zapominając, że wielu zostało „szabrownikami“ jedynie ze względu na warunki materialne. Więcej uwagi w nazywaniu zbrodni właściwym mianem zbrodni. Podp's: **Szabrownik z Wałbrzycha.**“

OD NASZYCH KORESPONDENTÓW

Na skutek dokonanej weryfikacji miejscowych Polaków z Opolszczyzny, gospodarstwa ich, niesłusznie uznane jako poniemieckie i nasiedlone repatriantami, wracają do rąk właściciela, repatriantów zaś przesiedla się dalej, na Zachód.

Z Łącznika, w powiecie prądnickim donoszą nam:

„Opuścili nas repatrianci. Ale czy wolno im, opuszczając nasze własne gospodarstwa, zabierać nasze konie, nasze bydło, ładować do wagonów nasze wozy i sprzęty gospodarskie? Czy wolno im łamać ze złości krzesła i rąbać siekierami łóżka, bić szyby i strzelać do kur? Czy wolno im sprzedawać nasze zbiory i pozostawiać puste stodoły i chlewy? I czy wolno milicji przyglądać się temu wszystkiemu bezczynnie lub nawet pomagać repatriantom, bo oni Polacy, a my to wciąż jeszcze „szwaby“? Stwierdzamy, że wśród repatriantów byli ludzie, którzy tu przyszli w r. 1944 już, razem z uciekającymi falami ukraińskich faszystów. Stwierdzamy, że wielu z nich nie miało nic wspólnego z polskością i zachowywało się jak zwykli bandyci. Tak było nie tylko w Łączniku, ale i w wielu innych wsiach powiatu prądnickiego. Widział to wszystko na własne oczy wicewojewoda Arka Bożek, ale i jego autorytet nie pomagał“.

W korespondencjach naszych czytelników znajduje się więcej jeszcze gorzkich spraw. Nie będziemy ich wszystkich wynosili na światło dnia. Poczęte w mrokach zbrodni, niech tam pozostaną. Zresztą pisanie nasze nie jest żadnym wymiarem sprawiedliwości. Na marginesie tego wszystkiego jednak uważamy, że jak weryfikuje się miejscową ludność, tak trzeba będzie dokonać także **w e r y f i k a c j i** repatriantów i osadników. Nie będzie to weryfikacją o typie wyłącznie narodowościowym, ale weryfikacją głównie ze względu na ich moralną i społeczną przydatność na polskim Zachodzie. Nie chcemy, by mieli w ten sposób cierpieć repatrianci — prawdziwi Polacy. Obraz płaczącego repatrianta w Łączniku wbił się nam mocno w oczy:

— To nie Polacy — mówił. — Nie wierzcie im, tego nie mogą robić Polacy. Wstyd mi za nich wszystkich.

Brz.

CZYTAMY PRASĘ

Miesięcznik **„Znak“** (którego ukazały się dotychczas dwa numery, za lipiec i za sierpień), jest niewątpliwie czasopismem wielkiej potrzeby. Gdzie jak gdzie, ale w Polsce, inteligencja katolicka zaczyna się dopiero właściwie tworzyć. Cierpieliśmy stanowczo na brak pogłębienia w sobie problemów, związanych z życiem wewnętrznym i z życiem społecznym. Nie bez słuszności nazywano nas często katolikami zewnętrznymi. Dziś nadeszły czasy, w których bardziej niż kiedykolwiek potrzeba katolików o najpełniejszej świadomości religijnej. Dzisiejszy polski katolik musi być równocześnie żarliwym wewnętrznie, dzielnym w myśleniu, czystym w życiu i apostolskim w działalności, idea wyznawanej przez większość narodu wiary sięgać winna najpowszechniej w życie rodzinne i publiczno-państwowe. Wydaje się, że między innymi, tym głównie celom służyć pragnie „Znak“ — nb. tytuł czasopisma szczególnie udany — katolicy mają swój znak i w tym Znaku zwyciężą.

Dwa wydane dotąd numery pisma zawierają bardzo obfity materiał treściowy. Są prace o charakterze ideowo-publicystycznym, rozprawy i rozważania filozoficzne, artykuły informujące o życiu kulturalnym i religijnym w świecie, są recenzje z książek, przeklady, różne notaty i zdarzenia.

Utrzymując jako podstawę swego myślenia filozoficznego tomizm, pragną dojść katolicy do lepszego świata, do wizji nowej, chrystusowej rzeczywistości. „Mamy nadzieję, że po krwawej wojnie światowej podniesie się znowu ludzkość ze stopnia niższego na stopień wyższy kultury materialnej i duchowej w imię zasady postępu, jakąśmy u św. Tomasza dostrzegli“ — pisze ks. Konst. Michalski w artykule wstępnym **„Znaku“** (nr 1), zatytułowanym pytająco „Dokąd idziemy?“. Dokąd idziemy i czego się spodziewamy? Dokąd winna wieść droga Polski? „Spodziewamy się, że po ostatniej wojnie światowej odnowi się oblicze ziemi nie tylko przez uwolnienie energii atomowej, lecz także i przede wszystkim przez to, że pojawi się nowy świat sprawiedliwości społecznej i miłości, by się upodobnić do Boga we wszystkich Jego atrybutach i doskonałościach. Boimy się mocy człowieka bez niezwykłej Jego dobroci, boimy się nawet sprawiedliwości bez miłości, gdyż sprawiedliwość mogła by się wyrodzić w okrucieństwo. **Stanęła Polska nad Odrą i Nysą, by spełnić na odzyskanej ziemi piastowskiej wielkie dziejowe zadanie:** jeżeli ktoś chce mówić o polskim micie na najbliższą przyszłość, to go poniesie na nowe nasze ziemie... Każdy katolik w Polsce pragnie gorąco, żeby aż do Odry i Nysy dokonała się paruzja Chrystusa przez polską pracę i polski wysiłek myślowy...“

Nie sposób omówić na tym miejscu nader cennych prac i artykułów, pomieszczonych w obu numerach **„Znaku“**. Ograniczamy się jedynie do podania ich tematyki. Tematykę człowieka i jego stosunku do rzeczywistości poruszają zarówno **Jerzy Turowicz** („W stronę uspołecznienia“), jak i **Stefania Skwarczyńska** („Człowiek zagubiony w świecie“). Zagadnienia ściśle filozoficzne są przedmiotem rozważań **Stefana Swieżawskiego** („Dlaczego właśnie tomizm“). **Maria Morstin Górska** na tle Brata Alberta stawia zagadnienie heroizmu realistycznego. Prócz tego, o problemie kultury niemieckiej pisze **Leon Halban;** z tłumaczonego przez Hannę Malewską artykułu Jean'a Danielou oglądamy obraz życia umysłowego we Francji, uzupełniony sylwetkami S. Kierkegaarda, J. P. Sartre'a i A. Camus'a, opracowanymi przez Malewską o książce Jerzego Zawieyskiego („Drodze do domu“) pisze Jerzy Radkowski („Poza naturalizmem“); tegoż Zawieyskiego utwór dramatyczny pt. „Mąż doskonały“ znajdujemy w sąsiednim numerze „Znaku“. Trudno też nie wspomnieć o artykule **Hanny Malewskiej** na temat polskiego bohaterstwa. Znakomita autorka powieści pt. „Kamienie wołać będą“ (dziwne, że powieści tej nie brano pod uwagę, kiedy rozpatrywano najlepszą książkę do nagrody „Odrodzenia“ napewno „Mury Jerycha“ Brezy przewyższa pod każdym względem!), mówiąc o bohaterstwie dzieci i kobiet nie waha się stwierdzić, że „to tutaj, może na wodach Odry i Warty, napisano krwią najpierwsze imię bohaterstwa“. Ale teraz nadszedł kres bohaterstwa. Nie wolno. Jesteśmy — jak powiada gdzieś Osmańczyk, jeszcze przed Malewską poruszając ten temat — na granicy upływu krwi.

W obecnych czasach potrzebny nam inny typ heroizmu, heroizmu pracy, a zwłaszcza pracy nad wychowaniem młodzieży. Dużo nasuwa się na ten temat uwag i myśli po przeczytaniu **„Głosu nauczycielskiego“** (centralnego organu Zw. Naucz. Polskiego). W numerze z dn. 7 września znajduje się artykuł pt. „U progu roku szkolnego“, który powoduje niewesołe refleksje. Praca nauczyciela nie jest wciąż jeszcze w Polsce należycie oceniana. I w ogóle szkoła często musi czekać; na przykład „podręcznik szkolny jest spychany na plan dalszy na korzyść literatury politycznej....“ Poza tym **trudne położenie materialne nauczyciela** wciąż jest **największą katastrofą naszego życia kulturalnego,** pojętego poważnie i dalekowzrocznie. Już dziś występują na tym tle takie ujemne zjawiska jak „1. Opłaty szkolne, które ratuje niejednego nauczyciela od ostatniej nędzy są jednocześnie dla niego przykrą jałmużną i przekreślają zasadniczy postulat demokracji — bezpłatności nauczania. 2. Nauczyciel odpowiedzialny za stan materialny swej rodziny nie może poprzestać na poborach służbowych, szuka dodatkowych zarobków, co w konsewencji odbija się na poziomie jego pracy“. Powoduje to dalej niebezpieczny odpływ nauczycielstwa do innych zawodów....

Kiedy nauczyciel w Polsce będzie tyle zarabiał, ile np. ekspedient w sklepie na ul. Dyrekcyjnej? Za pytajcie ekspedienta.

Zby.

Co robią Niemcy

Wydaje się, że osławione trzy K (Kinder, Kirche, Kueche) przestają być w Niemczech aktualne. Kobieta niemiecka bowiem dźwiga się w szybkim tempie do n o w e g o żywota, w którym pragnie zyskać poczesne miejsce. Na wielu wysokich stanowiskach widać w tej chwili kobiety, choć mężczyzn nie brakuje. Tam jednak, gdzie mężczyzna był członkiem partii i z tego tytułu z trudnością mógł by dziś kierować pewną robotą państwową, tam zastąpi go żona. Nie ma jeszcze stronnictwa kobiet niemieckich, ale już jest program polityczny.

Malutka książeczka pt. „Deutsche Frau“, wydana niedawno w Berlinie, **robi obrachunek z przeszłością kobiety niemieckiej i kreśli jej nowe zadania.** Czytamy tam o „uciemiężeniu“ Niemki w okresie hitlerowskim i o tym, jak to dusza jej i ciało w roku 1945, wyswobodzone zostały z mroku i niewoli. Że wyswobodzone zostało ciało, temu wierzymy chętnie, widząc Niemki w niezliczonych ilościach gruchające z żołnierzami alianckimi. Z wyzwoleniem duszy jednak sprawa nie przedstawia się tak prosto i oczywiście. Książeczka twierdzi nawet wręcz coś innego. Cóż nam bowiem mówi taki cytat: **„Niemka zastępuje dziś na wielu odcinkach Niemca, tak jak zastępowała go w czasie wojny.** Cel jest inny, bo teraz dążymy do budowania własnej ojczyzny, a nie do uszczęśliwienia świata; formy pracy Niemki pozostać jednak muszą te same. Bezwzględne posłuszeństwo naczelnym nakazom chwili (?) i przełożonym. Jeśli Niemki wchodzą dziś do Rad Zakładowych, to muszą pamiętać, że stoją na miejscu nieobecnych mężów i pracować winne tak jak oni by pracowali“. I tak dalej, w tym samym tonie utrzymane są dalsze wskazania, kreślone są obowiązki kobiety niemieckiej. **Dużo tu wzięto z przykazań hitlerowskich,** nie mówiąc już o zakończeniu które raz jeszcze uderza w ton pychy. „Pamiętaj, że jesteś Niemką! Możesz brać przykład z kobiet radzieckich i angielskich, amerykańskich i nordyckich, ale pracuj zawsze według niemieckiego zwyczaju (nach deutscher Art). Tylko w ten sposób odbudujesz swój dom i wzmocnisz wątłą ojczyznę. Pamiętaj, że jesteś Niemką!“

To ostatnie zdanie książeczki nie schodzi zresztą z ust kobiety niemieckiej, która, głównie z uwidocznionego na początku powodu, osiąga coraz większe godności w państwie. Premierem rządu w Hannowerze została np. pani radca rządowy Thea Nolte-Baehnisch. Na drodze do tej kariery pracowała w najrozmaitszych resortach państwowych od roku 1933, w którym zdała egzamin asesora rządowego. Przez blisko dziesięć lat zatrudniona była przy Prezydium Policji w Berlinie jako biegła w sprawach teatru.

Pewna Amerykanka w liście do jednej z gazet niemieckich, pisząc o zamiłowaniu do porządku i czystości kobiet niemieckich **zauważa, że należy je „zmobilizować dla akcji utrzymania pokoju świata, którą poprowadzą tak samo sumiennie“.** Ścieranie kurzu, zdaniem owej Amerykanki, wymaga sporo czasu i jest nudne, a pomimo to Niemki wykonują je dokładnie. Dlaczegóż zatem — woła emfatyczna nimfa z za Oceanu — nie można ich zaprząc do roboty ciekawszej, pożyteczniejszej a wymagającej tak samo poświęcenia i sumienności. Gazeta niemiecka list potraktowania poważnie i w własnym komentarzu zwraca się do wszystkich kobiet niemieckich o zabieranie głosu w tej sprawie. Parę linijek niżej redakcja pragnie zasięgnąć opinii czytelniczek w innej sprawie. Donosi mianowicie o **oświadczeniu biskupów katolickich zgromadzonych w Fuldzie, w sprawie spędzania płodu.** Oświadczenie zwraca się stanowczo przeciwko tym praktykom, nawet w wypadkach zgwałceń. Redakcja gazety popiera stanowisko biskupów katolickich, ale nie mniej pragnie zapoznać się ze zdaniem czytelniczek. Jako wymowną ilustrację do zagadnienia, podamy cyfrę legalnych spędzeń płodu, dokonanych w pierwszym półroczu 1946 w Stuttgarcie. Nastąpiło to mianowicie w 2485 wypadkach.

Polityka i moralność to dwie płaszczyzny, na których krzewią się zainteresowania współczesnej Niemki. Polityka pojęta jako obowiązek względem ojczyzny. Moralność jako splot zagadnień praktycznych wynikłych z sytuacji powojennej.

Jest jeszcze trzecia płaszczyzna. Zagadnienie pracy kulturalnej. I tutaj kobieta niemiecka jest aktywna, i tu dochodzi do głosu zamiast wielu nieobecnych mężczyzn. Do listy niemieckich pisarzy emigracyjnych, referowanej na tym miejscu niedawno, dołączamy nazwisko kobiety. **Anna Seghers, która przed rokiem 1933, za powieść swoją „Powstanie rybaków“, otrzymała nagrodę im. Kleista, żyje obecnie w Meksyku.** W międzyczasie napisała dwie nowe książki: „Siódmy krzyż“ i „Tranzyt“. Anna Seghers nosi się z myślą powrotu do Europy. I jeszcze dwie noty o pisarkach. Powieść historyczna **Grety von Urbanitzky** pt. „Wielki sen“ przetłumaczona została na języki: francuski, szwedzki, węgierski i hiszpański. **Helga von Wangeheim** napisała sztukę teatralną pt. „Dłużnik“, która wkrótce wejdzie na deski teatrów w kilkunastu miastach niemieckich.

Skoro już wspomnieliśmy o emigracji niemieckiej, warto zanotować tu **artykuł H. J. Wieganda o Albercie Einsteinie,** jaki ukazał się w berlińskim dzienniku „Telegraf“ (nr 67). Einstein przedstawiony tu jest **jako pacyfista.** Wielki uczony prowadził w tym kierunku robotę niemal że konspiracyjną. Pisał i drukował ulotki pacyfistyczne, rozdawał je w berlińskim Lustgarcie. W swej przedmowie do wydanego w roku 1922 dzieła Bertranda Russella pt. „Ideały polityczne“ **pochwala dezercję i indywidualne odmawianie służby w wojsku.** Dziś — jak czytamy we wspomnianym artykule „Telegrafu“ — Einstein nie zmienił się i głosi te same idee. Wątpimy, czy dzisiaj idee te znajdą posłuch w świecie, wątpimy, czy znajdą go w Niemczech, w których tęsknota do wojska nadal jest silna i na razie wyładowuje się w sporcie i w służbie w policji.

Tenże sam „Telegraf“ w nr 59 **przynosi nieoczekiwaną obronę literatury hitlerowskiej.** Występuje on mianowicie przeciwko niszczeniu książek nazistowskich, **które „trzeba uchronić poto, by kiedyś służyć mogły pokoleniom jako dokumenty epoki“.** O ile słuszne jest żądanie autora, by podział książek na szkodliwe i nieszkodliwe odbywał się niemechanicznie, według samych tytułów i autorów tylko, o tyle postulat zachowania milionów książek przesiąkniętych nienawiścią do innych narodów i miłością do wojny jest niebezpieczny. Projekt gazety, choć nie został uchwalony, rychło się w terenie przyjął. Tu i ówdzie wypożycza się nawet już literaturę hitlerowską, opatrzoną jedynie stemplem „Dokumente der Hitlerzeit“ lub „Feindpropaganda“. Tak to szybko przyjmują się w Niemczech projekty nawrotów do czasów minionych.

A tymczasem poszczególne kraiki niemieckie obdarzają się wzajemnie cennymi upominkami. Oto Saksonia podarowała Turyngii korespondencję Goethego z obu grafami Brühlami, przechowywaną dotąd w Dreźnie. Nie odbyło się to bez przemówień, w których m. in. padły słowa: „Musimy się dzielić resztkami z naszych bogatych dóbr kulturalnych, które albo rozniosła wojna albo wywieziono za granicę albo też zatrzymali dla siebie ci, którzy objęli pod swe panowanie odwieczne ziemie niemieckie.“ Lekka aluzja polityczna pod adresem Polski, zręcznie ukryta w spokojnym nurcie przemówienia, nie przesłoni chęci odwracania rzeczy oczywistych do góry ogonem. Z ogłaszanego raz po raz bilansu bibliotek niemieckich wynika, że **straty ich nie są znowuż tak przerażające.** Biblioteka uniwersytecka w Jenie straciła ze swoich 800 tysięcy tomów zaledwie 10 proc., w tym przeważnie dzieła nowsze, wydane w okresie hitlerowskim. Ale już w roku ubiegłym udało jej się uzyskać 3 tysiące tomów na miejsce utraconych kilkudziesięciu tysięcy.

Wydawnictwo Kiepenheuera w Weimarze rozpoczęło wydawać tanią oprawną serię klasycznej i współczesnej literatury. Na początek wydano dwie powieści Teodora Pliviera „Rokiny“ i „W ostatnim zakątku ziemi“. Z nowych pism periodycznych notujemy tygodnik Kulturbundu **„Sonntag“, poświęcony** zagadnieniom kulturalno-politycznym i „Hermelin“, pismo poświęcone pięknu zimowych futer i modzie.

Im większy jest rozkwit niemieckiego życia kulturalnego, tym głośniej **woła się o gospodarczy rozkwit miast.** Uważa się, że **rozkwit życia kulturalnego na gruzach to rzecz anormalna.** Trzeba odbudować miasta, centra życia kulturalnego. Błaga się o maszyny z Ameryki. Szczególnie prosi się o maszyny, które na miejscu przetwarzają gruz w tak zw. Ziegelsplittbeton. Z tego betonu zamierza się na tym samym miejscu budować nowe domy. Wartość tych maszyn najlepiej jest widoczna na przykładzie obliczenia, dokonanego przez berlińskiego architekta Bernarda Wedlera. Oto ono:

Berlin. Ilość gruzu — 70 milionów m kw. Czasokres pracy — 25 lat. Praca jednozmianowa.

Przy pracy ręcznej: 500 miejsc usuwania gruzów — 42 tysiące robotników — 2600 milionów RM kosztów i tylko 450 milionów RM wartości uzyskanych z przeróbki materiałów.

Przy pracy maszynowej: 35 stanowisk maszynowych — 2600 robotników — 650 milionów RM kosztów — 650 milionów RM wartości uzyskanych z przeróbki materiałów (a więc tym samym równoważy się wszelkie koszta).

Nic dziwnego, że Niemcy modlą się o amerykańskie maszyny. Czy je wymodlą? Znaki na niebie i ziemi twierdzą, że tak. I cóż ty wtedy biedna Warszawo?

wisz.

Patrzymy na ekran

Kinoteatr „Zorza“ wyświetla film francuskiej produkcji pt. „Skarb rodziny Goupi“.

Wiele o tym filmie pisano już i mówiono. Wiele przygotowań i reklamy wyprzedziło premiery tego francuskiego obrazu w Polsce. Sądzimy jednak, że żaden głos krytyczny nie podniósł tego momentu, który jest zasadniczym, tak dla samego filmu, jak i dla jego świadomego opracowania, tj. dla koncepcji reżyserskiej. Momentem tym jest atmosfera.

Przed omówieniem atmosfery, klimatu wizualnego i w ogóle artystycznego — wprowadzamy w fakturę: Rodzina Goupi, to bastion obronny, ostrów niezdobyty ani przez przestrzeń ani przez czas. Goupi trzymają się gleby biologicznie, jak mech trzyma się głazów ich domostwa, jak mgła trzyma się świtu ich dni. Nieodwracalnie. Bezrozumnie. Strasznie. I z tej właśnie straszności wywodzi się cała atmosfera. Bo atmosfery tej nie stwarzają ani szare obłoki, ani postny krajobraz, ani skąpe słońce. Bynajmniej. — Stwarzają ją ludzie, ci właśnie nieruchawi, zwyczajni chłopi francuscy, mieszkańcy zatraconych farm, klinci nudnych, bezpłodnych pagórków i pasierbowie ziemi, która kochają jak matkę, ale i której nienawidzą, gdy jest skąpa. A skąpa jest często.

Straszni są ci ludzie. Nipodległości swej bronią parasolami, wrogów mordują jakimiś ciemnymi praktykami przebijając ich wizerunki szpilkami lub odrywając im drewniane głowy. Zbrodnia popełniona w rodzinie jest równie świętą jak miłość a cielę, które ma się narodzić, znajduje więcej czułości niż syn powracający po 25 latach z dalekiej stolicy pod niesamowitą, rodzinną strzechę. Nic tedy dziwnego, że suwerenności tego dziwacznego klanu nie zdoła podważyć ani państwo, którego umundurowani wysłannicy stają bezradni przed ślepymi oczami rodziny Goupi — ani jakiekolwiek człowiecze uczucie, które nie byłoby zgodne z życzeniami klanu. Z tego małego podwórka, bronionego zardzewiałą, okutą w żelazo bramą, jest tylko jedna ucieczka. Korzystają z niej dwa buntownicze duchy Goupich, nie mogące zmieścić swych pragnień na tymże podwórku — a to: „piękna Goupi“, która ucieka pod ziemię (skacze do głębokiej studni) i neurasteniczny „Tonkin“, którego śmierć zacznie się wysoko, na samym szczycie prastarego drzewa.

Film bardzo męczący.

Artystycznie i reżysersko — obraz wysokiej klasy. Największym jednak atutem tego filmu są aktorzy. Niektóre sceny zbiorowe (rodzina przy liczeniu pieniędzy, czy przy posiłku, powrót z pogrzebu oraz obnoszenie sparaliżowanego dziadka po całym domu w poszukiwaniu skarbu) są wręcz znakomite. Najważniejsze, że aktorzy ci stworzyli właśnie tę **wzrokową atmosferę,** bez której społeczny i artystyczny sens filmu byłby przepadł.

Zanotujemy przy okazji pewne niedociągnięcia techniczne: fotograf a nieco szwankuje, nie zgadzam się bowiem z reżyserem Jerzym Zarzyckim („Film“ nr 1), że owa „miękkość“ zdjęć plenerowych była celowo w tym filmie robiona. Nie miałoby bowiem żadnego sensu, zwłaszcza w zestawieniu z sylwetkami ludzkimi, których dalekim autorem jest nie kto inny, jak sam Honore Daumier.

Alba.

Współczesna satyra niemiecka

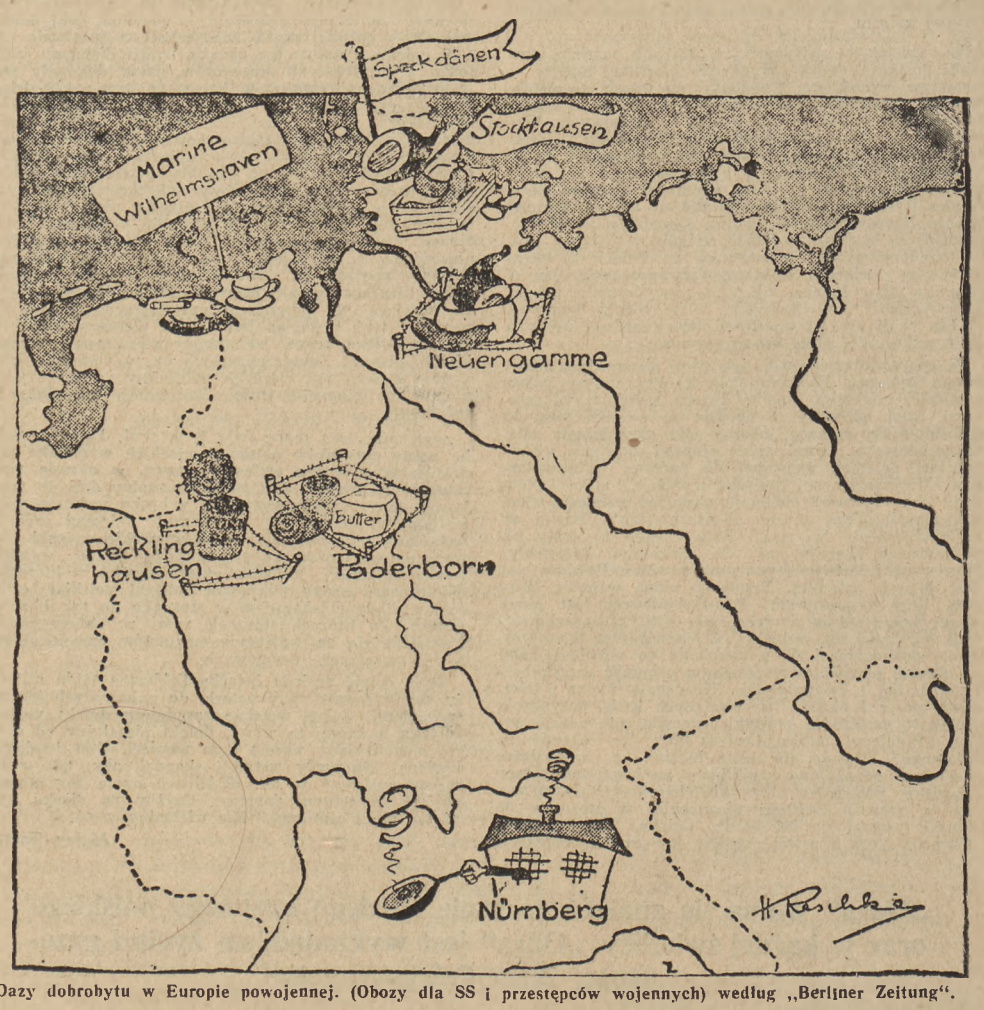

Oazy dobrobytu w Europie powojennej. (Obozy dla SS i przestępców wojennych) według „Berliner Zeitung“.

Redaguje komitet. Red. naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, ul. 3 Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawn. „Czytelnik“ Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawn. „Czytelnik“

R 20090